

# PRZEGLĄD WILEŃSKI.

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ:
Rocznie . . . . .	7.00	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu . . . . . 50 k.
Półrocznie . . . . .	3.50	Otwarte codziennie prócz świąt od 11 godziny do 4 pp.	W tekście (nadesłane) . . . . . 1 rb.
Kwartalnie . . . . .	1.75	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście . . . . . 20 k.
Miesięcznie . . . . .	60		
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie . . . . .	8.—		
Półrocznie . . . . .	4.00		
Kwartalnie . . . . .	2.00		
Miesięcznie . . . . .	70		

## Tragifarsa poznańska.

Jakby w odpowiedzi na niedawne zapewnienia herolda polityki realnej p. W. B-skiego, że niema dziś w Polsce grupy „ludzi dorzecznych“, których by można było pomawiać o chęć handlowania godnością narodową,—kilkudziesięciu arystokratów polskich z zaboru pruskiego stawilo się posłuszenie na obiad w zamku cesarskim w Poznaniu, by obecnością swą zaświadczyć czystość swych uczuć wiernopoddańczych.

A może ci Czartoryscy, Radziwiłłowie, Mielżyńscy, Chłapowscy nie są „ludźmi dorzeczniemi“?

Dlaczegoż w takim razie „Słowo“ staje w ich obronie i usiłuje krok ich usprawiedliwić, wmawiając w społeczeństwo, że kierowały nimi pobudki obywatelskie, troska gorąca o dobro kraju, nadzieje ułagodzenia tym sposobem zawziętości Wilhelma II?

Korespondent poznański „Słowa“ szeroko się rozwodzi właśnie nad *politycznem* znaczeniem przyjęcia przez panów wielkopolskich zaproszenia cesarskiego.

„Pod pewnym względem niespodziewanym jest fakt, iż cesarz zaprosił niezwykle liczne grono obywateli polskich na obiad, a cesarzowa kilka pań na popołudniową herbatę. Z punktu widzenia cesarza zaproszenie znaczniejszej liczby Polaków na obiad jest dowodem łaski monarszej. Przytem należy zrozumieć, iż kwestja zaproszeń nie była prostą formalnością dworskiej etykiety, ale, jak wiadomo, przedmiotem poważnych narad z czynnikami politycznymi. Naczelnym prezes Księstwa, który jest zwolennikiem pokojowej polityki, starał się podobno o to, aby zaproszenia przesłano i przyjęto, a tem samem uwidoczniła się chęć poważnych czynników doprowadzenia do jakiegoś porozumienia. Jeżeli w obecnej chwili monarcha zaprasza liczne grono Polaków, to stanowi to pod pewnym względem podanie ręki do zgody. Dlatego opinja kół poważnych postanowiła przyjąć te zaproszenia.

„Obywatele, którzy stawiają się w zamku, spełniają ciężki obywatelski obowiązek, zasługują tem samem na uznanie. Ze w chwili obecnej nie jest rzeczą przyjemną i sympatyczną stanąć wobec monar-

chy, który pozwolił na wywłaszczenie, każdy zrozumie i pojmie. Niewiadomo, w jakim duchu wypadnie przemówienie cesarskie obiadowe, czy nie zdraśnie w czem świętych uczuć naszych. Ale mimo panującego nastroju, nie można było się usunąć, bo zajęlibyśmy stanowisko wobec korony zasadniczo negatywne, z którego na długie lata zejść nie byłoby można. Walka nasza, jak to zaznaczono z poważnej strony w Berlinie, prowadzi się przeciw rządowi, przeciw jego polityce, nie przeciw państwu i koronie. To nasze zasadnicze stanowisko, z którego nie możemy ustąpić, bez narażenia się na dalsze prześladowania; stalibyśmy się bowiem wrogami nie tylko rządu i jego polityki,—ale państwa i korony. Obywatelstwo wielkopolskie rozumiało swój obowiązek, idzie na zamek bez względu na osobiste sympatje, w przeświadczeniu, iż łatwo zrobić giest, popularny na razie, ale nie wolno dla osobistej wygody palić wszelkich mostów za sobą“.

Oh, te oklepane argumenty, aż do znudzenia powtarzane za każdym razem, gdy się nadarza sposobność zamanifestowania swego lojalizmu! Po co i dla kogo to mydlenie oczu? Po co te napuszone frazesy, w które nikt nie wierzy, a najmniej ci, co je z emfazą wygłaszają?

Człowiek *dorzeczny* bowiem, chociażby był szambelanem dworu J. C. M., nie może nie rozumieć, że wystąpienie garstki szlachty nie jest w stanie zmienić stosunku rządu pruskiego do narodu polskiego, nawet w tym wypadku, gdyby istotnie intencje pojedyncze korony miały cechę prawdopodobieństwa. Bo jakże? Całe społeczeństwo polskie zajmuje postawę nieprzejednaną i potępia ostro wszelką myśl o kompromisie z wywłaszczycielami. Czynniki miarodajne pruskie dobrze o tem wiedzą.

Czy p. p. Mielżyńscy i Chłapowscy zachowają się tak lub inaczej—nie zmienia to w niczem nastroju ogółu polskiego, który bynajmniej, nie myśli zrezygnować z praw słusznie mu przynależnych. Jakąż wartość więc z punktu widzenia polityki ogólnonarodowej może mieć manifestacja lojalna kilkudziesięciu szlachciców, odosobnionych w swej akcji i otoczonych powszechną wzdargą? Oczywiście—żadnej.

Tego nie mogli nie wiedzieć i nie rozumieć p. Chłapowski i jego przyjaciele. A jednak poszli. Część

się udała na uroczystości dworskie z próżności, połączona nieprzepartą żądzą ocierania się o grono-staje cesarskie, część z zasady, z wrodzonego poczucia lojalizmu względem „panującego z Bożej łaski“, część wreszcie poszła niewątpliwie ze strachu przed wywłaszczeniem, mając nadzieję tą drogą zabezpieczyć się przed wciągnięciem swych dóbr na listę proskrypcyjną. Pisma podnoszą ze szczególnem oburzeniem fakt, że zaproszenie przyjął między innymi brat wywłaszczonej p. Liskowskiej. Zupełnie zrozumiałe, że jego właśnie—przykład tak bliski musiał natchnąć obawą o los podobny i kazał mu szukać ratunku chociażby kosztem poniżenia własnego.

Więc względy osobiste, strach, służalstwo, karjera przyświecały karcom, wyruszającym z Bazaru na zamek, nie żadne racje polityczne, któremi zastaniają je przed szyderstwem społeczeństwa usłudźni pis-macy. Są między nimi bardziej i mniej zręczni.

Ci ostatni w „Przeglądzie Wielkopolskim“, orga-nie Kasyna obywatelskiego wystąpili na powitanie Wilhelma z artykułem p. t. „Ave Caesar“, w którym znajdujemy takie zakończenie:

„Gładjatorów w rzymskim Colosseum ocalała rzadko ręka cezara w górę wzniesiona, zwykle palec śmiercionośny w dół się opuszczał — dla nas dotąd ręce kierujące systemem zawsze w dół opuszczone i jeźli ręce kierujące się nie wzniosą na znak zmiany i my, jak owi gładjatorzy z rzymskiego Colosseum możemy tylko wydać okrzyk: „Ave Caesar. Morituri te salutant!“

Dalej w niewolniczym upodleniu iść trudno. Głos ten jakże wiernie jednak odzwierciadla nastrój, panujący wśród większości szlachty ziemiańskiej, zwłaszcza w kierowniczych jej sferach. Lokajstwo posunięte aż do pogańskiego rabstwa, tchórzostwo graniczące z zaprzaństwem narodowym, samolubstwo i wyłączność kastowa prowadzące do zupełnego zwyrodnienia i wyeliminowania ze społeczeństwa!

Napróżno więc przysięgły obrońca uciśnionych p. Ludwik Straszewicz woła w „Słowie“ patetycznym głosem: „Nie męczcie umęczonych“ i roni gorzkie łzy nad wielką „tragiedją narodową“, nad zmaganiem się dwóch sumień: lękliwego i zuchwałego.

Publicysta ugodowy znieważa pamięć Wielopolskiego, stawiając wyniosłą postać margrabiego

w jednym szeregu ze zgiętymi w dworackich uklo-nach kamerjunkturami poznańskimi. Tam była powściągliwość i umiarkowanie, lecz nie było ani bo-jaźni ani łaszenia się. Tam był dumny mąż stanu, który chciał nagiąć społeczeństwo do swej woli, per-traktujący wprost z Monarchą, tu garść dworaków, słuchających nakazu landrata. Wielopolski reprezen-tował kierunek polityczny, p.p. Bnińscy i Osowicy—swoje własne interesy, identyfikowane niewiedzieć czemu z narodowemi.

Wielopolskiego nienawidzono, tymi można tyl-ko pogardzać.

Sam fakt zjedzenia przez kilkudziesięciu szlach-ciców polskich obiadu na zamku, zbudowanym przez wroga na znak tryumfu nad pokonaną dzielnicą pol-ską—jest w historii narodu drobiazgiem.

Słusznie zauważył ktoś, że uczujący panowie wielkopolscy obowiązani są zdawać z tego sprawę tylko strawności swego żołądka. Ale niechże nie ro-bią z siebie ofiar obowiązku patryjotycznego i nie roszczą pretensji do roli przedstawicieli społeczeństwa, które się od nich odżegnywa i nie chce mieć z ni-mi nic wspólnego.

Wciąż się powtarza ta sama historia. To tu, to tam serwilizm szuka ujścia dla zaskarżenia łaski zwycięscy. Za każdym razem głos opinii kategory-cznie się wypowiada przeciwko takiemu sposobowi ratowania ojczyzny. I za każdym razem niepowołani *patres patriae* depcą cynicznie głoszoną stale przez siebie zasadę solidarności narodowej, domagając się przytem, by ich otaczano aureolą męczenników.

I zawsze ten sam niezawodny skutek. Znajdą się czule serca, co się roztkliwią nad losem biednych patryjotów, a ogół, gdy pierwsze wzburzenie ulegnie, przebaczy im i otworzy szeroko ramiona do uścisku.

O, bo pod tym względem nikt nas o brak tole-rancji posądzić nie może.

Zwłaszcza, gdy chodzi o osoby utytułowane...

L. A.

◁○○○○○○○○○▷

WŁADYSŁAW LUDWIK EVERT.

## Bajki jesienne.

S M O K.

...A w czasach onych władał ziemią trzynastogłowy smok stułapny, co tchem paszcz swych trzy-nastu świat zatruiwał, krwawą hekatombę ciał i dusz ludzkich biorąc.

A smok ten nie miał miana.

I zwali go jedni postrachem, drudzy trwogą, inni niewolą...

Lecz on złorzeczenia ciche przenośił spokojnie, groźby bezsilne wyśmiewał, jadowitą pianą na proś-by bryzgał...

I składał mu świat hekatombę ciał i dusz ludz-kich.

Chciano z nim walczyć...

Więc szli woje hardzi, w złote zakuci pancerze,

piórami orlemi u ramion—poszli kmiecie, palice ka-mieniami ciężarne w dłoni dźwierząc, szły dziewy pię-kne, by w chwili szału, włosami swemi giętkie szyje smoka zdusić.

Lecz ginęły dziewy bez wieści — a palice, ka-mieniami ciężarne, i miecze błyszczące, pękami piór zdobne, leżały u smoka pieczary...

A wznosiła ich liczba z dniem każdym.

I rzekł w on czas król Sława:

— Porzucie miecze stalowe i zdradne palice. Zwyciężyć niemi smoka nie sposób. On kocha władzę swą i moc swą okrutną... Ja was ukochałem... I zmierną się serca nasze w biciu szalonem, w krwi obłędnej tętnie. A czyja miłość słabszą się okaże, ten padnie, by więcej nie powstać. Bo jeno uczu-ciem można zgnieść uczucie... Więc pójde...

I padli ziemianie u stóp Sława, prosząc by nie szedł...

— A gdy ty zginiesz, cóż nam pozostanie? Tyś wiarą naszą jedyną i pychą chwalną i szczęściem warnem... Pozostań, pošlemy huf wojów przedny, by w walce życie strawił i legł — lub zwyciężył... Po-zostań...

I odparł Sława:

# Czarna lista.

Ostatniemi czasy prasa warszawska zwróciła uwagę na zastraszający objaw kurczenia się własności polskiej na Litwie i Rusi. Rzecz charakterystyczna, że prasa wileńska traktuje kwestję tą półgębkiem, wyręczając się pismami warszawskimi. Te jednak, jako mniej u nas rozpowszechnione, nie posiadają dostatecznego wpływu i głos ich rozlega się poniekąd w próżni. Wyzbywanie się zaś masowe ziemi przez Polaków wymagałoby jakiejś akcji energicznej przeciwdziałającej, przede wszystkim zorganizowania opinii publicznej, która dziś reaguje na fakty sprzedawczykowstwa zbyt miękko i pobłażliwie.

Proces rozdrabniania się większej własności ziemskiej jest zjawiskiem ekonomicznym nieuniknionem, którego nie usuną żadne represje moralne. Proces ten zresztą ma swoje dodatnie strony zarówno pod względem społecznym jak narodowym, wpływając na powstawanie klasy drobnych posiadaczy rolnych, przyspieszając przez to demokratyzację kraju i w miejscowościach, ciężących ku kulturze polskiej, wzmacniając jej podstawy.

Umiejętą i celową parcelacją wielkich obszarów mogła by stanowić potężny środek obrony bytu narodowego, którego by zachwiać nie mogły, tak jak dziś, lekkomyślność lub zła wola jednostek.

Niestety parcelacja z myślą obywatelską jest dotąd zjawiskiem rzadkiem. O wiele częściej się spotyka fakt sprzedaży majątków w ręce obce, przeważnie Bankowi Włociańskiemu, który, jak wiadomo jest instytucją polityczną, na wzór pruskiej komisji kolonizacyjnej. Przeciwno tego rodzaju frymarkom społeczeństwo powinno występować ostro, osoby zaś sprzedawczyków tych zwłaszcza, którzy nie mogą się powołać na żadne okoliczności łagodzące, winna spotykać powszechna pogarda.

Przed paru tygodniami „Gazeta Rolnicza“ podała w artykule p. t. „Smutna kronika naszych czasów“ wykaz majątków, które od r. 1905 do 1911 przeszły z rąk polskich na Litwie i Rusi w obce

ręce. Dane te nie są całkowite — nie obejmują Ukrainy i gub. mohylowskiej, ale i te liczby są aż nadto wymowne, wykazują bowiem, że własność polska w okresie wskazanym skurczyła się ogółem o 160 tysięcy dziesiątyn.

Z tej olbrzymiej zaprzepaszczonej przestrzeni, największy szmat ziemi przypada na gub. mińską, gdzie stracono blisko 53 tys. dziesiątyn. O palmę pierwszeństwa walczy z gub. mińską — gub. wileńska, w której około 40 tys. dziesiątyn przeszło w obce ręce.

Bardzo pokaźne miejsce na tej czarnej liście zajmują także, lubo nie mogą dorównać tamtym gubernje: podolska i witebska. W pierwszej z nich sprzedano blisko 25 tys. dziesiątyn, w drugiej nieomal 23 tys. dziesiątyn. Znacznie mniej ziemi ubyło z rąk polskich w tym samym czasie w gub. kowieńskiej, mianowicie 15,600 dziesiątyn.

Na szarym końcu się znalazły gubernje: grodzieńska i wołyńska. W gub. wołyńskiej w ciągu lat sześciu uległo sprzedaży 15,150 dziesiątyn, w grodzieńskiej zaś tylko około 4 tys. dziesiątyn.

W gub. mińskiej hr. Stanisław Czapski sprzedał Hańcewicze, w pow. słuckim, p. Horwatt Narowłę na Polesiu, p. Moniuszko — Pacyniany. Duże dobra p. Szczytta Teresin, tudzież Kowniatyn, p. Staszewicza zostały również sprzedane w obce ręce. P. Anna Wołłowiczowa sprzedała Zadołże w pow. pińskim obszar 2,300 dziesiątyn, p. Kieniewicz sprzedał dobra Wielki Maleszów w pow. mozyrskim 1300 dziesiątyn, Czesław Kowalewski — dobra Buraś, mające 18,000 dziesiątyn obszar. Wreszcie ostatnio p. Wiesław Orda sprzedał swój majątek Paulinowo w pow. pińskim.

Gubernja wileńska, nie posiadając, z małemi wyjątkami, tak dużych latyfundiów, prześcignęła tamtą pod względem liczby dóbr zaprzepaszczone.

W porządku abecadlowym podajemy nazwiska odnośnych osób w gub. wileńskiej. Władysław Jasiński (dobra Giedrojcie), Kwinto (Birsztany), księżna Marja Lubomirska (duże dobra Franopolskie, w pow. dzisieńskim), Ignacy hr. Korwin-Milewski sprzedał bankowi włociańskiemu olbrzymie swe dobra, Berezynę, w pow. oszmiań-

— Polegną woje. Bo z synem Nocy, jeno dziecko Słońca zmierzyć się może... Więc pójdę...

A wtedy ta, którą ukochał, u nóg mu legła, splotami włosów nogi spletała i prosić poczęła:

— Pozostań... Całunki twe, jako miód słodkie, a wonne jako lip kwiecie... Pozostań... Wśród chwil zawrotnego szalu, będę ci szeptać słowa przedziwne... Pozostań... A jeżeli krasa moja ci zbrzydła, sama znajdź dziewę nadcudną, byś rozkosz z nią poznał... Pozostań...

I odparł królewicz:

— Powstań! Niema ciała, którebym nad twoje pożądał i duszy, z której byłbym dumniejszy... Lecz pójdę... Bo walka z złem miernym wstrętem mnie przejmuję. Lecz walka z Złem wielkim, to cel mój najwyższy... Więc pójdę. Wiarą waszą zbrojny, a sercem mem mocny — zwyciężę...

I poszedł Sławo...

A gdy ujrzał smoka, to rzekł mu:

— Przychodzę bez miecza. Zmierzymy się serc naszych biciem, wiar naszych mocą — dusz ukochaniem.

I legł koło smoka. Swą pierś śnieżną do jego łuskami pokrytej zbroicy przytulił.

I poczęły bić się ich serca w tonie obłądnym, aż krew z lic Sława uciekła, aż usta kraśne zsiniały...

— Nienawidzę — zawarczał smok.

— Kocham — wyszeptał Sławo.

Aż nie strzymała pierś potwora i z hukiem strasznym serce mu pękło... Jak echo odparło hukowi westchnienie ulgi, co się z łona ziemi wyrwało...

I porwał się z prochu królewicz, na łbie potwora nogę wsparł hardą, a wzrok szczęściem obłądny ku niebu posłał...

Wtem zbladł...

Rozciął pierś swą białą i krwią swoją purpurową smoka kropić począł. I tchem ust swych kraśnych ożywić próbował... Naprawdę...

Więc łza smutku wzrok mu zamgliła i szepnęła:

— Oswobodziłem ludzkość... Zabiłem smoka...

O czym teraz marzyć będę... Z kim walczyć...

I padłszy na cielsko gada płakać począł...

skim, mające obszaru bez mała 10 tys. dzies., Julia z Ostroróg-Sadowskich, z pierwszego męża hr. Umiastowska, z drugiego — hr. Ignacowa Korwin-Milewska, żona poprzedniego, (część dóbr Lewków, w pow. wilejskim), p.p. Ogińska i Oskierczyna (dobra Uźmiany, stanowiące wspólną własność), Władysław Oskierko (Ostrówek), Piłsudski (Czabiszki), Rudolf Ratyński (Mańkowszczyzna), Szyryn (Sporuny), Antoni hr. Tyszkiewicz (duże dobra Kojrany, w pobliżu Wilna, które nabył gien. Buturlin dla swego zięcia, osławionego O'Brien de Lassye'go). Oprócz Kojran, hr. Antoni T. sprzedał także Kościuszyszki. Listę zamyka p. Wołowski (Azurkowszczyzna).

Ostatnio przybył na czarną listę p. Jan Kamiński, szambelan papieski, który sprzedał majątek swój Przyjaźń w pow. święciańskim rosjaninowi Pimienowowi.

W gub. kowieńskiej p. Ign. Dowiatt sprzedał swe dobra Batkuny, ks. Wł. Drucki-Lubecki swe Kopiany, J. Eymontt — dobra Dubiany, Erdman-Wojniuny, Grużewska — Szczesnow, Mączyńska-Sidory, należące częściowo do Syrjatowicza, Piłsudski — majątek Derwiany, Pluszkiewicz — Kłopotowszczyznę, hr. O'Rourke — Kiejtuny, Rybski — Dubiany-Ubessy, Staniewicz — Szynaławki, wreszcie G. Zaleski — Wielonę, nad Niemnem — dobra słynne na Litwie z tego, że, podług podania, w ich obrębie leży mogiła Giedymina.

W gub. grodzieńskiej spotykamy tylko jedno nazwisko, mianowicie hr. Grabowskich, którzy sprzedali tam niedawno dwa swe majątki ziemskie — Czarnowczyce i Turnę.

Przechodząc z kolei do gub. witebskiej, znajdujemy tu na tej samej czarnej liście nazwiska następujące: Michał Benisławski sprzedał dobra Warków i Uzulmużę, Ogiński — Hanutowo, wreszcie Władysław hr. Wielhorski — dobra Zasicino.

Na Wołyniu znalazło się w latach ostatnich tylko trzech handlarzy ojcowizną: są nimi Michał hr. Poniński, który oddał w obce ręce swe dobra Majków, Edw. hr. Tyszkiewicz — dobra Hulsk, w pow. zwiahelskim, 14,000 des., dobra leśne, młyny, fabr. porcelany, wreszcie Michał Prószyński — dobra Nowa Czartorja.

## ŚLAWO.

I pytano w czas ów królewicza Sławo...

— Otoś piękny jest ponad ludzką miarę. Otoś szczęście posiadał i smoka zabił — a śmiech Twój srebrzysty zwycięską i chwalną nutą po ziemi rozbrzmiewa. Skąd moc twą czerpiesz?

I odparł Sławo:

— Z wiary waszej we mnie położonej...

I znowu spytano królewicza:

— A szczęście twe z czego wypływa?

A Sławo wznosił oczy płonące i odparł:

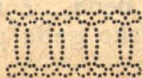
— Bo kocham — i jestem kochany...

Aż po raz trzeci spytano królewicza:

— Więc jesteś szczęśliwy i wierzysz w szczęście?

I odparł Sławo:

— Szczęście jest mytem odwiecznym, w które należy... uwierzyć...



Na Podolu dobra swe w obce ręce sprzedali ostatnio: Antoni Iżycki (Niszowce) kupił na licytacji p. S. Czichaczew, Feliks Jurjewicz (Kulna i Nestoida), nakoniec Bolesław Starzyński (Zahników), a zapewne ci wielu innych, których nazwisk nie znamy.

Nie wszystkie powyższe wypadki sprzedaży ziemi w obce ręce są równoznaczne z punktu widzenia interesów narodowych. Jak już mieliśmy kiedyś sposobność zaznaczyć, wielką różnicę widzimy między cofaniem się szlachty polskiej z kresów białoruskich i wyzbywaniem się dobrowolnym ziemi w okolicach, na które ze specjalnym łakostwem spogląda Bank Włociański. A właśnie w gub. wileńskiej, niestety, działalność tej instytucji, w skutek indyferentyzmu społecznego szlachty polskiej, znajduje dla siebie szerokie pole.

Największe rozmiary przyjmie parcelacja w pow. oszmiańskim, w którego obrębie leży, jak już wiadomo, Berezyna hr. Ignacego Korwin-Milewskiego. Oprócz części Berezyny Bank ma w r. b. rozparcelować w pow. oszmiańskim i niektóre inne, mniejsze dobra. Ogólna przestrzeń dóbr parcelowanych wyniesie w tym roku 11,300 dzies.

Drugie miejsce pod względem pośpiechu w rozdrabnianiu dóbr i tworzeniu osadnictwa obcokrajowego, przywożonego ze wschodu, zajmie w roku bieżącym pow. dzisieński, w którym na parcelację przeznaczono około 4 tys. dzies., t. j. część Franopola ks. Lubomirskich.

Gorącą też działalność Bank ujawnia w pow. wilejskim, gdzie leży, między innymi, Lewków hr. Ignacowej Korwin-Milewskiej. Najmniej ziemi Bank włociański ma do rozparcelowania w obrębie gub. wileńskiej, w powiatach: święciańskim, wileńskim i trockim.

Naogół bank rzeczony dokonywa obecnie na Litwie mniejszych obrotów, niż przed kilku laty, a to skutkiem tego, że skupił tyle ziemi, że nie może znaleźć na nią takich nabywców, jacy mu przypadają do gustu, pomimo usilnego werbowania włocian bezrolnych w gubernjach rosyjskich i namawiania ich do wychodźstwa na zachód.

Dużo bardzo ma Bank włociański kłopotu np. z Łachwą, olbrzymimi dobrami w gub. mińskiej, w pow. mozyrskim, które niebacznie przed kilku laty na parcelację kupił i obecnie nie może na nie znaleźć dla działek tamtejszych dość godnych kandydatów.

▷○○○○○○○○◁

## Gospodarka szkolna w Galicji.

Nad tem, jakie znaczenie ma szkolnictwo dla życia narodu, dziś już nie trzeba szeroko się rozwodzić; i są to rzeczy zbyt znane, które przeniknęły świadomość każdego myślącego człowieka.

Już 43 lata temu mówiono, że zwyciężył Francję bakałarz niemiecki, a dziś myśl, zawarta w tem zdaniu, prawdą być nie przestała. Wobec warunków politycznych w jakich się znajdujemy, nie wszędzie za rozwój naszego szkolnictwa jesteśmy odpowiedzialni: jedna tylko Galicja daje nam odpowiednie pole działania. Galicję nazywają Piemontem polskim i często idealizują, gdy jej zbliżka nie znają. Na to jednak, aby za Piemont uchodzić mogła, nie wystarczy korzystne polityczne warunki; potrzeba umiejętności korzystania z tych warunków i uświadamiania sobie do czego

i jakimi drogami dążyć należy. Że to w Galicji szwankuje—dowodem gospodarka szkolna.

O ciemnocie Galicji, o braku szkół ludowych o analfabetyzmie pisano już wiele, wystarczy powołać się na znaną książkę Światłomira „Ciemnota w Galicji“. Bezwątpienia dziś, jeśli chodzi o ilość szkół, statystyka wykazuje wiele zmian na lepsze: zwiększyła się liczba szkół ludowych, jak również średnich. Co do tych ostatnich, pomiędzy którymi przeważają szkoły klasycznego typu, przyczyniają się one nawet do wytworzenia smutnego zjawiska, „hiperprodukcji“ inteligencji, znanego w Zachodniej Europie, a w Galicji występującego w jaknajbardziej jaskrawej formie. Młodzież wszelkich stanów ciśnie się do posad rządowych, w których widzi cały swój ideał, które otrzymać pragnie, choćby kosztem jaknajwiększych poniżeń, jakich im często nie szczędzą przedstawiciele autonomicznych władz.

Zamiast więc brać się do rolnych fachów, które w tym zacofanym kraju uchodzą za coś niższego od c. k. urzędów, a w każdym razie wymagają większej przedsiębiorczości i większego nakładu energii, wszyscy idą utartą drogą do urzędów po przez maturę gimnazjalną, wytwarzając w ten sposób swą nadprodukcję inteligencji. Jest to oczywiście nadprodukcja jedynie pod względem ekonomicznym, o nadmiarze ludzi inteligentnych bowiem, mogących uchodzić za pionierów kultury, w Galicji niema i nie może być mowy.

Jeśli więc galicyjską gospodarkę szkolną nazywają nie bez słuszności haniebną, to ma się na względzie nietyle niedostateczną liczbę szkół, ile jakoś oświaty, ile ideję przewodnią szkolnictwa, przede wszystkim duch, jakim jest przejęta instytucja kierownicza, smutnej pamięci Rada szkolna krajowa.

Rada szkolna, która w myśl ustaw obowiązujących posiada bardzo rozległą autonomję, choć z niej nie korzysta w całej pełni, zwracając się w każdej niemal sprawie do Wiednia i przysparzając tylko nadmiernej pracy urzędnikom centralnych instytucji, jest ciałem zbiorowem. W skład jej wchodzi mianowani przez rząd inspektorowie szkolni, oraz w mniejszej liczbie przedstawiciele niektórych społecznych instytucji. Na czele Rady szkolnej stoi nominalnie jako prezydent każdorazowy namiestnik kraju, a faktycznie jego zastępca, wiceprezydent. Przez długi czas godność wiceprezydenta pełnił Bobrzyński, zanim został namiestnikiem, a całą jego działalność była ożywiona duchem centralistyczno-biurokratycznym. Legalista, fanatyczny wielbiciel ładu i porządku, zwolennik silnej władzy. Bobrzyński wychowywał młodzież po austriacku, widząc w każdym żywiółowym odruchu młodzieży przejaw polskiej irredenty. Na jego to polecenie swego czasu usuwano z wydań szkolnych „Pana Tadeusza“ ustęp: „Miasto Gdańsk, niegdyś nasze, znowu będzie nasze!“, bo to przecież sprzeciwiało się polityce trójprzymierza. Następcą Bobrzyńskiego na stanowisku wiceprezydenta jest p. Ignacy Dembowski, kontynuujący politykę swego poprzednika z dodaniem jedynie silnej dawki klerykalizmu, któremu nowy dygnitarz jest ciałem i sercem oddany. Poza tem jest to ta sama szkolna polityka Bobrzyńskiego, z tą tylko różnicą, że p. Dembowski nie posiada rozumu ani taktu swego poprzednika i jest to człowiek zupełnie ograniczony, który dzięki koligacjom rodowym (w Galicji nie pytają się człowieka o zdolności, tylko czy jest „familjantem“), w stosunkowo młodym wieku doszedł do tak wyso-

kiego i odpowiedzialnego stanowiska. Dembowski otoczył się zausznikami i pochlebcami, i niemi poobszadzał wszystkie wyższe stanowiska, bez względu na kwalifikacje moralne. Aresztowanie paru inspektorów szkolnych, kreatury Dembowskiego, którym zarzucono przestępstwa kryminalne, jakiego świadkiem byliśmy w bieżącym roku, —oto rezultat takiej osobistej polityki.

Niezależność stanu nauczycielskiego pod rządami obecnej Rady szkolnej stała się zupełną fikcją. Nie mówię już o tem, że na awans rachować może nauczyciel, odpowiadający pod względem przekonań religijnych i politycznych widokom władz, bo to dzieje się, choć w mniejszym stopniu, w wielu zachodnich krajach. Ale tu ma się do czynienia ze specjalnem prześladowaniem nauczycieli niezależnych, połączone z usuwaniem ich ze stanowisk, jako karę za „przestępstwa“ niedowiedzione, lecz insynuowane drogą plotek i pokątnych denuncjacji. W ten sposób usiłowano przed 3 laty usunąć ze stanowiska wybitnego nauczyciela Janika, autora dzieła o Kołłątaju, za rzekomo bluźniercze odezwanie się o Chrystusie, co w istocie wcale nie miało miejsca. Sprawa ta powstała dzięki temu, że ojciec jednego z uczniów, człowiek mało inteligentny i nie rozumiejący, o co nauczycielowi chodziło, poleciał ze skargą do księdza, w następstwie czego Rada szkolna przeniosła prof. Janika do Dembicy, jednej z najlichszych dziur prowincjonalnych. Trafiła jednak kosa na kamień, gdyż prof. Janik, opierając się na nieformalności dekretu Rady szkolnej, przed wydaniem którego nawet go nie przesłuchano ani tłumaczyć mu się nie dano, zaapelował do ministerjum, a tymczasem zbudziła się raz wreszcie w Galicji opinia publiczna i poparła prof. Janika, zwołując cały szereg demonstracyjnych wieców, na których uchwalono rezolucje, protestujące przeciw postępowaniu Rady szkolnej. Ministerjum uznało postępek Rady szkolnej za nieformalny, i Janik nie pojechał na rekolekcje do Dembicy, ale Rada szkolna nie chce go wpuścić z powrotem do Lwowa i aż do definitywnego załatwienia sprawy poszkodowany nauczyciel liczy się za pozostającego na urlopie, pobierając pensję.

Daleko większą krzywdę wyrządzono prof. L. ze Lwowa, którego nawet przy najlepszych chęciach nie udało się schwytać na gorącym uczynku propagowania zasad wolnomyślnych, i którego całą winą było, że wziął ślub cywilny, obywając się bez błogosławieństwa kościelnego, na co prawda dawstwo austriackie pozwala. Profesora L. przez cały rok wzywano do Rady szkolnej i proponowano mu, aby dla uniknięcia skandalu podał się do dymisji, grożąc, że w przeciwnym wypadku mu jej udziela. Pan L. jednak ze względów zasadniczych sprzeciwił się temu i doczekał się wreszcie udzielenia mu oficjalnej dymisji. Jako człowiek cichy i skromny, niechętnie wstępujący w szranki, pan L. nie uciekł się do pomocy prasy ani wogóle opinii publicznej i krzywda, wyrządzona mu, przeszła niepostrzeżenie.

Zresztą tym razem Radzie szkolnej poszło łatwiej, niż z Janikiem, gdyż p. L. był tylko suplentem, a więc nauczycielem w każdej chwili usuwalnym. Ten system „suplentur“ jest znakomitym atutem w ręku Rady szkolnej w jej walce z nauczycielstwem. Instytucja suplentów pochodzi z tych czasów, gdy nie było w Galicji nadprodukcji inteligencji, więc trzeba było często posiłkować się w gimnazjach siłami nauczycielskimi jeszcze nieegzaminowanymi, aby chwilowo za-

pełnić luki. Suplent pobierał  $\frac{2}{3}$  pensji nauczycielskiej i mógł być usunięty w każdej chwili bez odwoływania się do ministerjum. Obecnie jednak tego prawa powoływania suplentów do wykładów w szkołach nadużyto w ten sposób, że nauczyciela, nawet po zdaniu egzaminu nauczycielskiego, zostawia się na stanowisku suplenta przez rok, dwa i dłużej, aż dopóki się Radzie szkolnej zamianować go nauczycielem etatowym nie spodoba, bo tak jest i oszczędniej i wygodniej: z suplentem można sobie zrobić mniej ceremonji.

Doszło wreszcie do tego, że w Galicji jest tylko połowa nauczycieli etatowych: reszta — to wszystko suplenci, choć są między nimi i ludzie osiwiali. Dziwić się wobec tego trudno, że nauczyciel galicyjski zrezygnował z ideałów młodości, jeśli je kiedyś posiadał: woli siedzieć spokojnie za piecem i wykladać ściśle i dosłownie według anachronicznych podręczników, bo cały los jego i rodziny zależy od humoru dumnych panków, trzęsących sprawami szkolnictwa.

Nauczyciele gimnazjalni są jednak ludźmi, z którymi czasem nawet i Rada szkolna musi się liczyć, bo dotkliwie pokrzywdzeni mogą narobić wrzawy, która ich zwierzchności nie jest na rękę, a łatwo mogą trafić do prasy i innych organów opinii publicznej.

Najgorszym jest los nauczycieli ludowych, tych istnych parjasów społeczeństwa galicyjskiego, którzy stanowią jedyną może zrewolucjonizowaną grupę galicyjską, w większym bodaj stopniu niż zorganizowani robotnicy, gdyż warunki ich życia są wprost straszne.

Napróżno ta armja prawdziwych proletarjusów woła oddawna o poprawę bytu i znośne warunki. Sejm galicyjski ma do rozdania jedynie bonifikacje dla właścicieli ziemskich, trudniących się wyrobem wódki, nauczycieli zaś ludowych stale odprawia z kwitkiem.

Jeśli do niskiej płacy, z której wyżycie nie sposób, dodamy okropne warunki mieszkalne, szczególnie kobietom dające się we znaki, oraz szykany polityczne, których Rada szkolna i tym biedakom również nie szczędzi, łatwo sobie przedstawimy możemy oplakany stan nauczyciela ludowego. Coraz częściej dowiadujemy się z gazet, że ten czy ów nauczyciel lub nauczycielka po audjencji u wiceprezydenta odebrali sobie życie w przedśionku Rady szkolnej.

Fakty takie się mnożą; są one jak gdyby groźnem „memento“ dla sfer, które tak bezdusznie i biurokratycznie odnoszą się do oświaty.

I uczniowie znajdują się w nienajlepszym położeniu. W nauczycielach nie widzą przyjaciół, gdyż ci po za godzinami szkolnymi unikają kontaktu z młodzieżą, obawiając się, czy to nie będzie czasem uznane za szczyt nieprawomyślności. W szkole spotykają przeważnie atmosferę bezduszną, a z manifestacji patryjotycznych, urządzanych przez władze szkolne podczas rocznic narodowych, drwią sobie otwarcie, gdyż widzą w tych obchodach obłudę i nieszczerłość. Pamiętają przecież galicjanie dobrze te niedawne jeszcze czasy, gdy karano ucznia, który w dniu 3 maja, zamiast pójść do szkoły, wolał udać się na manifestację. Teraz biorą w niej udział wszyscy z wielką paradą, z dyrektorem i profesorami na czele, bo chodzi władzom o to, aby zagasić świetnością inny obchód, o dwa dni wcześniejszy. Zresztą duch tych narodowych manifestacji, przemowy i cała atmosfera nie może zadowolić młodzieży, w której

umyśle każda taka rocznica wiąże się ze sprawą przyszłości narodu, ze sprawą wyzwolenia.

Od zeszłego roku poczynszy, Rada szkolna daje znak życia na innem jeszcze polu, a mianowicie na polu tamowania drogi do wiedzy. Nie mogąc bez złamania ustawy ograniczyć ilości uczniów w każdej klasie, zabiera się do szycanowania eksternów. Na podanie eksternów o dopuszczenie ich do matury Rada odpowiada odmownie, dowodząc, że nie przedstawili dowodów dostatecznego przygotowania, tak jakby egzamin nie miał być właśnie tym sprawdzianem. Jeśli zaś ekstern przedstawi dowody piśmienne, wykazując, kto i w ciągu jakiego czasu go przygotowywał, Rada szkolna w  $\frac{9}{10}$  wypadkach uznaje i te dowody za niewystarczające, motywując to gołosłownie. Rząd, który w ostatnich latach miał z uniwersytetami wiele kłopotów, radby chętnie powstrzymać wpływ młodzieży do wszechnic, lecz nie we wszystkich Radach znajduje dla tej myśli posłuszne narzędzie, z wyjątkiem jednej galicyjskiej, która zawsze była i jest przeniknięta duchem państwo-wo-austriackim.

Rada szkolna zamiast iść śladami komisji edukacyjnej i tworzyć na polskiej ziemi wolne i demokratyczne szkolnictwo polskie, stała się jedynie filją wiedeńskiego c. k. ministerjum, którego wskazówek słucha, ze społeczeństwem własnem pozostając w niezgodzie. Dziś, kiedy w Galicji widać wszędzie pewne podniesienie się ducha, tem większą odrazę i niechęć musi budzić ta polityka, obliczona na krótką metę. Społeczeństwu trzeba nietylko oficjalnej wiedzy podręczników, lecz idei przewodniej, któraby królowała w dziedzinie oświaty, a tej mu dostarczyć nie mogą biurokratyczni przewodnicy, nawiedzeni od urodzenia daltonizmem w świecie idei. Niezadowolenie tymczasem rośnie i rozsadzi z czasem musi gmach starego szkolnictwa, dostosowanego do ery Metternicha czy Bacha, lecz obcego najzupełniej tak ideałom narodowym, jak duchowi demokratyzmu i wolności.

J. Krz.

▷○○○○○○○○◁

## Stulecie pracy kobiet holenderskich.

*Amsterdam w sierpniu.*

Rok 1913-y jest dla Holandji rokiem bardzo znamiennym. Nie tylko w stolicy kraju — Hadze, nastąpiło otwarcie ofiarowanego przez milionera Carnegie, Pałacu Pokoju i urządzonego bezpośrednio po rzeziach bałkańskich europejskiego Kongresu Pokoju, ale cały kraj święci 100-lecie odzyskania swej niepodległości przez liczne historyczne obchody i święta, oraz przez 30 różnorodnych wystaw, dających świadectwo o handlu, przemyśle, rolnictwie, sztuce i nauce Holandji.

Holenderska kobieta nie pozostała w tyle przy uświetnieniu tej ważnej daty narodowego życia, i wystąpiła ze specjalną wystawą pracy kobiet za okres 100 lat w Holandji.

Na urządzenie wystawy wybrano najruchliwsze i najpiękniejsze miasto — Amsterdam, gdzie już w maju otwarto podwoje charakterystycznej *Tentoonstelling de Vrouw 1813—1913*.

Po raz pierwszy bodaj w historii ruchu kobiecego zorganizowano pokaz podobny, mający za zadanie dać pojęcie o postępach intelektualnej i społecznej pracy kobiet za okres stu lat.

Postęp ów plastycznie ilustruje karton malarski w dziale: „Prawo wyborcze do parlamentu“. Kiedy w roku 1813-ym holenderka zajęta była jedynie ogniskiem domowym, pielęgniarstwem i... haftem, dziś na obszernej drodze życia widzimy całe pulki kobiet, dążące do fabryk, urzędów, szpitalów.

Dorywcza statystyka wykazuje, że od roku 1872-go wydano w Holandji 93 kobietom lekarskie patenty, 66 kobiet otrzymało doktoraty prawa, 66 aptekarskie pozwolenia, 25—doktoraty nauk przyrodniczych, 29—doktoraty nauk filologicznych. W r. bieżącym 53 kobiety studjuje nauki techniczne na politechnice w Delft.

Uprzytomnijmy sobie te cyfry! Czy nasz naród, liczący 7 razy tyle ludności, co Holandja—poszczyci się bodaj połową tych zdobyczy w ruchu kobiecym!

Jest rzeczą charakterystyczną, że Holandja, naród Rembrandta i tylu artystów, wydał zaledwie 2 kobiety, artystki-malarki. Znane są one bardzo niewiele. Obrazy Teresy Szwarce i Zuzanny Robertson znane są nielicznej garstce wielbicieli. Zaś salon artystyczny na wystawie pracy kobiecej w Amsterdamie zaledwie  $\frac{1}{1000}$  część pawiljonu głównego zajmuje. Zato w szkołach gospodarczych, w szkołach, mających program uniwersytecki, kształciło się w r. b. 7,724 studentek. Nie dziwno nam tedy, że dom holenderski wygląda, jak kościół, że brud, niechlujstwo, związane z „polską czcią“ dla kobiety i z przywiązaniem tej ostatniej do przeróżnych Macochów i innych różańcowych przewodników duchowych, znikło tu oddawna.

Holenderka zdawien dawna pracuje społecznie. Działalność oświatowa kobiety holenderskiej, że zaznaczymy urządzenie w całym kraju ruchomych biblioteczek, pracę w tysiącnych ochronach i szkołkach robotniczych, pracę herkulesową w walce z suchotami i chałupnictwem wśród rzesz robotniczych—stawia Holandję na wyżynach ruchu emancypacyjnego.

To nie są czcze przechwałki, a widoma, w grafiki i wykazy ujęta praca, przed którą ze smutkiem schylił głowę polka, o ile „znajdzie czas“ na zwiedzenie wystawy w Amsterdamie.

Dziś honorem dla większości gospodyń naszych jest... dobry, wykwinny obiad. Spółzawodnictwo istnieje li tylko na punkcie strojenia się w coraz droższe suknie.

Przypatrzmy się ubiorom kobiecym w Holandji. Są one proste, czyste i tradycyjnie przekazywane. Nie masz bowiem na świecie kraju, w którym by częściej i jaskrawiej manifestowano ubiór narodowy, jak w Holandji.

Kwestja obiadów zostaje już tu zupełnie prawie rozwiązana przez instytucję kooperatywnej kuchni, która w 8 miastach holenderskich dostarcza do domu obiady.

I o dziwo! kuchnie te prowadzone są wyłącznie przez... mężczyzn.

Jest jeszcze ciekawy punkt działalności holenderek — praca w kolonjach, na wyspach Indji Holenderskich. Specjalny pawilon, żywcem przeniesiony z Jawy, wykazuje, co kobieta zdziałać może przy szerzeniu cywilizacji wśród dzikich.

A nasze dwory? Ehl...

M. Dąbrowski.

▷○○○○○○○○◁

## August Bebel.

W Graubünden w Szwajcarii, gdzie ciężko chorego pielęgnowała ulubiona córka, zmarł wódz socjalizmu niemieckiego, August Bebel. Życie jego osobiste, a poniekąd i partyjne było od lat kilku już skończone. Był ciężko chory, miesiącami całymi skazywany na bezczynność. Nie przemawiał więcej, albo w nadzwyczajnie rzadkich tylko wypadkach, w parlamencie i na zjazdach partyjnych. Młode pokolenie robotnicze nie znało już jego mocnej, prostej, zawsze wielogodzinnej wymowy. Przedstawiciele tego pokolenia spotykali Bebla na zjazdach partyjnych. Dla tego pokolenia przechodził on za życia jeszcze do mitologii ludowej, stawał się częścią integralną nowoczesnej robotniczej Walhalli germańskiej. Powaliły bohaterem lata, długie lata pracy wyczerpującej, nędra wczesnej młodości, lata więzienne wieku dojrzałego, nieszczęścia osobiste. Dobila go śmierć żony, wreszcie śmierć zięcia, dr. Simon, bakterjologa zuryskiego, który zginął tragiczną niemal śmiercią przy pracy w laboratorium.

Wiedział, że dni jego są policzone i oddawna przygotowywał się do ostatecznego pożegnania ze światem. Złożył urzędy partyjne, pragnąc, aby się młode pokolenie przystosowało do stanu rzeczy, który zapanuje, kiedy starych wodzów nie stanie więcej. Chciał za życia jeszcze widzieć, jak funkcjonować będzie olbrzymia machina socjalizmu niemieckiego, bez tych, którzy jego podwaliny kładli. Widział, jak funkcjonowała bez Liebkechta, później bez Singera, wreszcie zobaczył ją funkcjonującą bez Augusta Bebla. Spisał *pamiętniki* swoje, posiadające znaczenie nie tylko historyczne, ale i wysoce moralne i pedagogiczne, będące nie tylko historją żywota indywidualnego, historją oraz rozwoju niemieckiej zbiorowości socjalistycznej za przeciąg lat blisko pięćdziesięciu, ale i testamentem woli i testamentem charakteru. Doczekał się *pięćdziesiątego* wydania swojej ciekawej książki: „*Kobieta i Socjalizm*“, doczekał się on, najstarszy członek parlamentu niemieckiego, że obradom tego ciała prawodawczego, przez krótką cprawda chwilę, przewodził ku przerażeniu rządu, junkrów, mieszczaństwa, tronu i kleru,—socjalista. Mógł odejść.

August Bebel należał do heroicznego pokolenia socjalizmu niemieckiego. Ludzie tego typu przypominali nam zawsze starych powstańców naszych. Było w nich coś z żywiołowości — woda spada, którzy z przedziwną siłą spada z wyżyn po kamieniach, rozpryskuje się o głązy, o wały przeszłokód, krzywdy mu te kamienne, zimne, niemilosierne zwały nie czynią, odbija się od nich i ze zwiększoną jak gdyby energją, płynie dalej w majestatycznym swoim ku wieczności pochodzie.

Niez mordowany żywioł tkwił w nich wszystkich w Liebkechcie i Beblu, w Blanqui'm i w Vailant'cie, w Stanisławie Krzemińskim i w Bolesławie Limanowskim.

Szły lata, siły dziesięciolecia pracy i znoju, pełne częstych porażek, rzadkich chwil radości. Głowy przypruszył szron srebrnej starości, zgarbiły się plecy, ale duch pozostał młody, uskrzydłony wiarą i niczem nieuleczalną nadzieją. Tylko dzięki takim ludziom ruch mógł przetrwać pierwsze dziesięciolecia przesładowań i męki. Mógł skonsolidować się wewnętrznie, opanować niebezpieczeństwa rozłamów i różnic, zespolić się, zcałkować

i w olbrzymim rozokoleniu społecznych ruchów robotniczych wytworzyć jądro stałe, gotowe przetrwać wszystkie przemiany atmosfer politycznych. lata suszy i głodu, a także przemijających nastrojów mas ludowych. Na nich, jak na Atlasach mitycznych spoczywał młody świat proletarjackiego dążenia rewolucyjnego, w którym więcej było marzenia i ułudy, niż siły i wytrwania. Oni być musieli, ażeby pracując za stu, wykonywając roboty Tytanów, roboty w mitologii helleńskiej herkulesowemi zwane, umożliwić młodocianemu organizmowi proletariatu zmeźnić, urosnąć pod względem rozmiaru, ale oraz i pod względem wartości, spoiłości i siły wewnętrznej. Tacy ludzie są zawsze błogosławieństwem historii, w pewnych jednak momentach są konieczni, są bowiem *wszystkiem*.

August Bebel urodził się w roku 1840, w koszarach wojskowych pod Kolonją. W pierwszym tomie *Pamiętników* swoich opowiedział nam bezsłowne dzieje młodości. Młodzieńcem chłopcem odumarał go ojciec, w parę lat później odumarał go i ojczym, a stryj zarazem, dozorca więzienny. Chowała go matka, mężna, jak widać, kobieta, chowała Kuma Troska, — chowała Życie! Matka zajmowała się szyciem rękawiczek wojskowych, zarabiała 20 fenigów na dzień. August służył za chłopca w kręgielniach. Po powrocie ze szkoły chodził do zajęcia, z którego późnym dopiero wieczorem wracał do domu. Zbierał i ustawiał obalone kręgle; zajęcie było ponad siły; ciągle schyłanie się wywolywało bóle chroniczne krzyża i musiało być zarzucone. Kopał też co roku w ciągu kilku tygodni kartofle. W trzynastym roku życia odumiera go i matka. Z łaski bierze go do domu ciotka, młynarka pod Wetzlerem, gdzie August pomaga przy oprzęcie inwentarza, wymiata kurniki i stajnie. Ze świadectwem szkoły ludowej wstępuje do warsztatu najlepszego tokarza w Wetzler, którego żona była w przyjaźni z matką Augusta. Tokarz przyjął go na terminatora, mówiąc, że słyszał, jakoby miał dobry stopień z religii, a więc dobry z niego będzie robotnik. Praca trwała bez przerwy od 5 rano do 7 wieczór. Rano ponadto musiał przynosić majstrowej za dodatkową opłatą po ośm wiader wody codziennie. Za tę pracę dodatkową otrzymywał 2 fenigi dziennie. Po czterech latach został Bebel czeladnikiem i udał się na obowiązkową podówezas dla czeladników wędrowną. Obszedł całe południowe Niemcy, był w Austrii, przeszedł cały Tyrol, pracował w Salzburgu, zachodził i do Szwajcarii. Po miastach wstępował wszędzie do potężnych podówezas stowarzyszeń czeladniczych (Gesellenverein). Przewodnikami byli tam wszędzie księża katolicy. We wspomnieniach swoich, Bebel protestant mówi o nich z rozrzewaniem. Wspomina dobrych wikarych, którzy nie żalowali trudu, aby powiększać rozrywki czeladników. Bebel uczestniczył we wszystkich, i w kościelnych uroczystościach. Zachował wspomnienie pielgrzymki, odbytej ze stowarzyszeniem czeladników salzburskich do cudownego miejsca pod Salzburgiem, pod osłoną chorągwi cechowej ze świętym Józefem i Przenajświętszym Dzieciątkiem. Po odbyciu nabożeństwa przez, później wysoki dostojnik kościelny, uraczył pobożnych czeladników dwiema beczkami piwa, których skutek był taki, że Bebel nie mógł sobie przypomnieć jakimi drogami święta chorągiew powróciła do Salzburga. Aliści ten sztandar cechowy nie miał zostać sztandarem jego życia.

W maju 1860 roku szukając pracy, przybywa Bebel do Lipska, gdzie osiada na długie lata, za-

kląda dom, rodzinę, wchodzi do życia publicznego i prędko wybija się na stanowisko przodownicze. Była to chwila w życiu publicznym Niemiec ważna i ciekawa. Po jedenaście lat trwającej reakcji politycznej zaczynało się budzić nowe życie. Amnestja, związana z objęciem rządów przez regenta (później króla, wreszcie i cesarza Wilhelma I), umożliwiła powrót do kraju setkom ruchliwych, a często i wybitnych ludzi, którzy spędzali gorzkie lata wygnania na londyńskim bruku. Wojny włoskie, bohaterskie walki rozbitego i ciemiężonego narodu pod hasłem niepodległości i zjednoczenia, zwycięstwa nad rządami zaborczymi, odnośzone wbrew przewidywaniom wszystkich ostrożnych i przeczonych polityków nad „niezwalczonej“ armją austriacką, tchnęły nowego ducha w tych, co robili rewolucję 48 roku i sromotnie ją przegrali, t. j. w mieszczaństwo niemieckie. Mieszczaństwo, pobite politycznie w 49 roku, zużytkowało jedenaście lat zupełnej ciszy politycznej na walkę ekonomiczną, zorganizowało się ekonomicznie, położyło podwaliny pod rozwój przemysłu fabrycznego i zdobyło znaczne środki materialne. W posiadaniu wielkich środków, płacąc wielkie podatki, poczuło się mieszczaństwo uprawnionem do wyciągnięcia ręki po władzę w państwie. A wypadki włoskie ożywiły na nowo tradycje polityczne 48 roku w kierunku zjednoczenia Niemiec i oparcia ich rządów na zasadach wolnościowych. Mieszczaństwo całe, jako takie, było liberalne, musiało być w opozycji, gdyż żadnej władzy, odpowiadającej sile materialnej, jaką przedstawiało, nie posiadało. Mieszczaństwo chcąc oprzeć swoje żądania polityczne na silnej podstawie, oglądało się za sojusznikami, i tych sojuszników z natury rzeczy widziało w miejskiej ludności pracującej, w rzemieślnikach i robotnikach.

Klasy robotniczej nie było jeszcze podówezas w Niemczech. Robotnik był ciemny, nieoświecony. Na Zachodzie, za Renem, w Paryżu, w Lugdunie robotnik staczał krwawe walki o wolność pod hasłami szkół socjalistycznych; tutaj robotnik nie słyszał o socjalizmie i o komunizmie. Bebel opowiada, że nie spotykał podówezas w Lipsku robotników, którzyby słyszeli kiedykolwiek o manifestacie komunistycznym, albo o działalności Marxa i Engelsa nad Renem w roku rewolucji.

Mieszczaństwo zakładało stowarzyszenia oświatowe, do których tłumnie zapisywali się robotnicy na członków. Życie polityczne w Lipsku było bardzo żywe. Założono tu stowarzyszenie oświatowe w roku 1861. Bebel znalazł o niem wiadomość w dziennikach i zapisał się na członka. Prowadzili wykłady w stowarzyszeniu profesorskie lipskiego uniwersytetu, uczono tam stenografji, języków i rachunków. W stowarzyszeniu była opozycja, której nie wystarczały już ogólne hasła liberalne. Domagali się wyraźnego stanowiska robotniczego. Nie należał do niej Bebel. Opozycja wystąpiła i założyła stowarzyszenie „Naprzód“. Tutaj prowadzono dyskusje polityczne, domagano się ubezpieczeń na wypadek niezdolności do pracy, prawa wyborczego do sejmu, ogólnoniemieckiego parlamentu, który by się zajął kwestją robotniczą. Domagano się też ogólnoniemieckiego zjazdu robotniczego, który miał „rozwiązać kwestję robotniczą“. Myśl takiego zjazdu nurtowała wszędzie, hasło rzucone w Lipsku obudziło przyjazne echo w całych Niemczech. W Lipsku wybrano komitet, który miał porozumiewać się z delegatami innych miast niemieckich. Do komitetu powołany też został i Bebel. Na wiosnę 1863 roku delegaci lipscy



udali się do Berlina. Tutaj rozmowy z liberałami rozczarowały ich. Robotnicy berlińscy zaprowadzili ich wtedy do Lassale'a, który przyjął ich najprzyjaźniej, przekonywał o nieszczerości liberałów, przyznając napisane broszury, w której rozpatrzy stosunek robotnika do państwa, a komitet lipski rozpowszechnił tę broszurę i zwołał kongres robotniczy. Lassale był już wówczas autorem słynnych pamfletów o „Konstytucji“ i „Programie robotniczym“, jednak Bebel nie znał nawet jego nazwiska. Rozmowy z Lassal'em przewrotu w jego poglądach nie wywołały, nie wywołała go i broszura, Bebel w mowie publicznej wypowiedział się podówczas przeciwko powszechnemu prawu wyborczemu, motywując swoją niechęć niedojrzałością polityczną robotników...

W maju 1863 roku założony został w Lipsku Powszechny Niemiecki Związek Robotniczy. Stowarzyszenia oświatowe złączyły się w jedną organizację: Robotnicze Stowarzyszenie Oświatowe, którego drugim przewodniczącym obrano Augusta Bebla. Na tem dopiero stanowisku uległ Bebel radykalnej przemianie wewnętrznej: został socjalistą. Wraz z nim stowarzyszenie posuwając się coraz bardziej w lewo, oświadczyło się wreszcie jako takie, za stronnictwem socjalno-demokratycznym. Socjalistą został Bebel pod wpływem własnych rozmyślań nad życiem społecznym i jego organizacją, a największy wpływ w tym kierunku, poza imperatywną siłą życia, wywarli w tym względzie na nim Fryderyk Albert Lange, znakomity historyk filozofii materialistycznej, a także pięknej „Kwestji robotniczej“, wielki uczony, większy jeszcze charakter i Wilhelm Liebknecht.

Liebknecht dopiero co był wrócił, po trzy-nastoletniej nieobecności w kraju do Berlina, skąd wydalony w roku 1865, za chlebem przybył do Lipska. I tu w sierpniu tego roku nastąpiło spotkanie dwu ludzi, którzy największy wpływ wywarli w każdym kierunku na zorganizowanie ruchu i stronnictwa robotniczego w Niemczech. Prędko też pomiędzy nimi stanęła przyjaźń, która trwała lat 35, aż do śmierci Liebknechta (7 sierpnia 1900 roku). Liebknecht był starszy o lat dwadzieścia, posiadał uniwersyteckie wykształcenie, pogłębione podczas kilkunastuletniego pobytu na emigracji, obcowaniem z Karolem Marx'em i Engels'em, a także doświadczeniem o wiele więcej rozwiniętego życia angielskiego. Bebel był młody, bez porządnego wykształcenia, samouk, doświadczenia politycznego nie posiadał. Łatwo zrozumieć, że w tych warunkach Liebknecht musiał wywrzeć głęboki wpływ na utalentowanego robotnika, zupełnie już przygotowanego, społecznie i emocjonalnie, do przyjęcia socjalizmu.

Ten okres nie nastąpił zaraz. Bebel był demokratą, jako demokratą był członkiem stronnictwa ludowego i w tym charakterze został po raz pierwszy w roku 1866 wybrany do tak zwanego Północnego Parlamentu, rozszerzonego po kilku latach w ogólnoniemiecki Sejm Rzeszy. Jako demokratą, namiętnie zwalczał Prusy i Bismarka. W roku 1866, po wybuchu wojny austriacko-pruskiej, na wiecu publicznym w Lipsku wystąpił z wnioskiem, zamienionym w uchwałę, protestującym przeciwko polityce zaborczej Prus. We Frankfurcie nad Menem, w parę tygodni później głosił znowu przeciwko „rozbójniczej, podważającej pokój świata polityce Prus“.

W parlamencie przemawiał raz jeden, w kwietniu 1867 roku, również przeciwko pruskiej hegemonji. Jednak nie w parlamencie Rzeszy północ-

nej, gdzie oburzały go tylko i zniechęcały pycha i zaborczość junkrów krzyżackich, ale w żywym obcowaniu ze światem robotniczym, dojrzał Bebel—polityk. Stowarzyszenia oświatowe wyzwalały się powoli, ale wszędzie z pod opieki liberalnego mieszczaństwa. Wyodrębnione, centralizowały się. W r. 1867 Bebel jest już prezesem zarządu zcentralizowanych związków robotniczych. Wybrany został przeciwko dr. Maxowi Hirsch'owi, demokracji liberalnemu; wybrano go raz dlatego, że reprezentował politykę anti-pruską, a Hirsch, berlińczyk, wydawał się delegatom robotniczym podejrzanym pod względem prusofilstwa, powtóre dlatego, że robotnicy woleli wybrać robotnika, niż liberalnego i demokratycznego inteligenta, ile że coraz większą poczynali mieć nieufność wobec demokratyzmu liberalnej inteligencji.

Niebawem w Norymberdze związki uchwały większością 61 związku przeciwko 32 jako obowiązujący dla siebie program międzynarodowej asocjacji robotników w Londynie. Stosunek liczbowy wskazuje, że w związkach nie było jeszcze jednolitego poglądu politycznego. Liberali, założyciele związków, czynili co mogli, aby nie dopuścić do uniezależnienia się robotników od ich przeważających wpływów. Obawiali się słusznie, że ten separatyzm zaprowadzi do założenia odrębnego robotniczego stronnictwa politycznego, co stanowić może o ich przegranej w walce o władzę z konserwatystami. Wprowadzali zamieszanie do szeregów robotniczych, łącząc się to z katolikami, to z konserwatystami, a że ponadto, pomimo, że Lassale już nie żył, trwała dalej walka pomiędzy prusofilskimi wyznawcami *socjalizmu państwowego*, a ich przeciwnikami z Liebknechtem na czele, więc spory i scysje prowadziły w związkach robotniczych do namiętnej, często wprost fizycznej walki. Trzeba było znaleźć wyjście z tej ciężkiej i beznadziejnej sytuacji i znaleziono je na drodze, prowadzącej do Marx'a i Międzynarodówki. To było dzieło Liebknechta.

Pod jego wpływem też Bebel, podówczas wcale jeszcze nie socjalista, zwrócił się do Rady Generalnej Międzynarodówki w Londynie z prośbą o przysłanie delegatów na zjazd do Norymbergi, na którym zapewniona większość ma przyjąć jej program „ułożony według stałych zasad i o wyraźnym kierunku“. Związek stowarzyszeń robotniczych liczył podówczas 13.000 członków. Że Bebel, nie socjalista jeszcze, szukał wyjścia z pogmatwanych stosunków robotniczych na tej drodze, to świadczy nie tylko o wielkim jego zaufaniu do Liebknechta i o talencie agitatorskim ostatniego, świadczy też o nadzwyczajnym zmyśle politycznym 28-letniego majsterka tokarskiego. Ten zmysł był najcharakterystyczniejszą jego właściwością. Przyniósł go ze sobą na świat i on przedewszystkiem zdecydował o roli, jaką ten rzemieślnik odegrał w dziejach własnej klasy, socjalizmu niemieckiego i międzynarodowego. Ten zmysł towarzyszył mu w walkach ze zwolennikami Lassale'a, ten zmysł przedewszystkiem pozwolił orjentować się w kierunkach myśli robotniczej, popierać jedne, zwalczać drugie. Ten zmysł i wielki talent praktyczny, zdolność do konkretnego myślenia, nieprzyćmionego dialektyką abstrakcyjnego rozumowania sprawiły, że potrafił w szeregach robotniczych, nie tylko w drobnych związkach, zakładanych przez liberałów, ale w olbrzymich stowarzyszeniach, w stronnictwie, liczącym sto tysięcy a później i wiele set tysięcy członków, nie tylko zająć, ale co ważniejsza i trudniejsza, *zacho-*

wać przodujące stanowisko. Nie zawsze świeciło słońce. Bywały lata ciężkiej próby. Pod rządem kilkanaście lat trwającym ustaw wyjątkowych, udało się Bismarkowi stronnictwo polityczne zdeptać i niemal na proch zetrzeć, wybory do parlamentu kończyły się nieraz porażką (tak, ostatnio jeszcze w 1907 roku), walki wewnętrzne osłabiały stronnictwo bądź w postaci usuwania z partii anarchizujących inteligentów, bądź walki z rewizjonizmem — Bebel z każdej takiej sytuacji, w której wodzowie zdają ciężki, a nieraz i śmiertelny egzamin, wychodził obronną ręką.

Przedewszystkiem polityk i praktyk życiowy, rozwiązywał wszystkie te teoretyczne zagadnienia ze stanowiska praktycznego interesu robotników jako klasy i jako stronnictwa. Rozumowania filozoficzne i głębokie uzasadnienia socjologiczne pozostawiał młodym doktorom i starym talmudystom. Sam nie zajmował się teorią i natura umysłu jego trzymała go zdaleka od zwodniczych, ku niebiosom poznania prowadzących ścieżek. *Szara jest wszelka teoria*, powtarzał ten mądry rozum robotnika, *zieleni się natomiast wiecznie młode drzewo życia*. Pod wpływem Liebknechta i później na emigracji w Zurichu, wyrobił sobie Bebel filozoficzny pogląd na świat w duchu tak zwanego ortodoksyjnego marksizmu i temu pogładowi pozostał wierny do śmierci. Dlatego we wszystkich walkach z rewizjonistami stał zawsze po stronie Kautsky'ego i jego szkoły, nieprzejednanych integralnych marksistów. Ale ten pogląd nie przeszkadzał mu, gdy chodziło o konkretne interesy polityczne. Nie brzydził się sojuszami w walce politycznej (nawet „z djabełem”, *selbst mit dem Teufel*, zwykł był mawiać), nie wahał się czynić w tym kierunku wszystko, co było możliwym, aby socjalistę Scheidemanna posadzić na fotelu prezydjalnym parlamentu niemieckiego. Przypominał pod tym względem innego wielkiego praktyka socjalistycznego, Wiktora Adlera w Wiedniu—wielkiego prócz tego djalektyka, który nie tylko pozwala delegować towarzysza Pernerstorfera do prezydium parlamentu wiedeńskiego, nie tylko pozwala mu chodzić w delegacji na audjencje u Franciszka Józefa, ale nawet podważa zasadniczy postulat parlamentarnej taktyki socjalistycznej: każe głosować za podjęciem dyskusji budżetowej.

Popularność Bebla w szeregach robotniczych, tak łatwo poddających się nastrojom chwili, (co prawda, są to *robotnicy niemieccy*), pozostawała zawsze taką samą. Rywalizował pod tym względem jedynie tylko z rówieśnikiem swoim, Ignacym Auerem († 1907 r.). Niepozbawionym interesu będzie szczegół, że Auer — był rewizjonistą. Robotnicy kochali i wielbili jednaką miłością obu, bez względu na ich przekonania filozoficzne i polityczne. Instynkt pouczał ich, dlaczego obu kochać należy. Nie mylili się.

Stanisław Posner.

(D. n.)

▷○○○○○○○○◁

## Nasza produkcja wydawnicza.

Mieczysław Rulikowski. Materiały statystyczno-bibliograficzne. I. Produkcja wydawnicza polska w latach 1909—1911. Warszawa, 1913. Skład główny w księg. E. Wendego i Sp.

P. Mieczysław Rulikowski, sumienny bibliograf i historyk teatru polskiego, zbiera od kilku lat

dane, dotyczące naszej produkcji wydawniczej. Ważnym elementem są tu obliczenia statystyczne, chociaż bowiem w warunkach naszych trudno w tej dziedzinie o zestawienia matematycznie dokładne, to jednak materiał dowodowy nie traci na swej wartości nawet przy pewnych, drobnych lukach. A przyznać należy, że p. Rulikowski zabrał się do pracy z całą świadomością szkopułów. Książka jego zawiera szczegółowe tablice i wnioski syntetyczne, uwzględniające polską produkcję wydawniczą w latach 1909, 1910 i 1911.

Przeciąg czasu, rozważanego przez p. Rulikowskiego zbyt jest krótki, aby słusznem było podkreślanie fluktuacji liczbowych z roku na rok. Zakwestjonować również można potrzebę wciągania do ratunku wydawnictw polaków w językach obcych. Wykaz tych wydawnictw sporządzany jest zarówno w „Przewodniku Bibliograficznym” jak w „Książce” na zasadzie polskiego jedynie brzmienia nazwiska autora. Wiemy dobrze, jak bardzo taka metoda jest zawodna: zarówno w bibliografii niemieckiej, jak francuskiej pełno jest nazwisk polaków, którzy nie wspólnego nigdy nie mieli ani z nauką, ani z literaturą polską. Dla czegoż prace ich mają być zaliczone do dorobku polskiej kultury? Natomiast przekłady z polskiego (o ile nie ukazały się na obszarze etnograficznym polskim) nie weszły do obliczeń p. Rulikowskiego. Dla czego? Bo taki jest już zwyczaj u wszystkich bibliografów w Europie. To są jedyne zastrzeżenia, jakiebym uczynił omawianej pracy. Po za tem wykonana została niezmiernie starannie.

Ile książek wydajemy rocznie? Około 3<sup>1</sup>/<sub>2</sub> tysiąca (3333 w roku 1909; 3723 w r. 1910; 3391 w roku 1911). Znaczenie tych cyfr wykazałoby mogło dopiero procentowe zestawienie z innymi krajami cywilizowanymi. Niestety, p. Rulikowski materiałów odpowiednich nie znalazł. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, iż taką ilość książek wydaje naród dwudziestomiljonowy, to cyfra nie okaże się zbyt imponującą. Co innego jednak powiedzą te cyfry, gdy się zastanowimy nad tem, że aż tyle książek wydaje rocznie naród, pozbawiony niepodległości, podzielony na trzy zabory, rozbitý na kilka emigracji, posiadający tylko w jednej dzielnicy uniwersytety polskie, skrupowany najcięższymi warunkami bytu. Był czas (przed rewolucją), gdy Galicja wydawała znacznie więcej książek, niż Królestwo; obecnie te stosunki zmieniły się znacznie, jak wskazuje następujący wykaz procentowy za trzy omawiane lata

Królestwo, Litwa, Ruś . . . . .	56,25%
Galicja i Śląsk austr. . . . .	37,89 „
Poznańskie . . . . .	2,8 „
Zagranica . . . . .	2,36 „
Ameryka . . . . .	0,13 „
Bez miejsca wydania . . . . .	0,57 „

W wykazie tym uderzają smutnie dwie wymowne cyfry: niezmiernie drobna produkcja wydawnicza w Poznańskim (zaledwie 2,8% całości) i zupełnie nieznaczna w Ameryce (0,13%), gdzie przecież mieszka aż kilka milionów polaków. Niski poziom umysłowy emigrantów naszych w Ameryce czyni zrozumiałym poniekąd ten słaby procent ich wydawnictw własnych. Ale zatrważające wprost są nasze stosunki wydawnicze w Poznańskim, gdzie mieszka przecież około 18% wszystkich polaków.

Bardzo ciekawe są również tablice p. Rulikowskiego, wykazujące naszą produkcję wydawni-

czą według miast. Stwierdzają one, że mieliśmy w latach sprawozdawczych zaledwie 23 miasta, które wydały więcej niż 9 dzieł rocznie, a zaledwie dziesięć miast, które wydały ponad trzydzieści druków. Te ostatnie cyfry warte są przytoczenia. W r. 1911 wydały:

Warszawa. . . . .	1501 druków
Kraków . . . . .	675 "
Lwów . . . . .	480 "
Łódź . . . . .	119 "
Wilno . . . . .	104 "
Poznań. . . . .	75 "
Częstochowa. . . . .	47 "
Złoczów . . . . .	34 "
Kijów . . . . .	32 "
Tarnów . . . . .	30 "

Stolica Wielkopolski wydaje więc o trzydzieści blisko druków mniej, niż Wilno, w którym do niedawna jeszcze wydawnictwa polskie były rzadkością...

To są rezultaty prześladowań pruskich, znacznie może więcej niepokojące, niż ich robota kolonizacyjna.

Najważniejsze w wykazach p. Rulikowskiego są cyfry, które pouczają co wydajemy, to jest co czytamy? Oczywiście należałoby przytoczyć całe tablice, aby dać wierny tych stosunków obraz. Poprzestać musimy na kilku uogólnieniach, które przez swą jaskrawość mówią więcej, niż suche wykazy. Otóż zarówno dziś, jak dawniej, na pierwszym miejscu co do ilości druków stoją wydawnictwa teologiczne (219 w r. 1909; 370 w r. 1910; 264 w r. 1911). Książki dla ludu zajmują trzecie miejsce według liczby dzieł (około 200 rocznie); powieści — czwarte lub piąte miejsce (około 200 druków rocznie); poezja — mniej więcej dziesiąte (około 100 druków rocznie); książki dla młodzieży i dzieci — mniej więcej szóste miejsce (około 170 rocznie); kalendarze—dziewiąte miejsce (około 140 rocznie); medycyna — siedemnaste miejsce (około 100 dzieł) i t. d.

P. Rulikowski usiłował także poinformować i o ilości egzemplarzy wydawanych dzieł. Za podstawę obliczeń wziął wykazy urzędowe, zanotowane w wydawnictwie rosyjskim „Kniżnaja letopis“ na zasadzie obowiązujących deklaracji drukarskich. Nie jest to źródło absolutnie pewne, ale bądź co bądź daje jakieś dane co do zaboru rosyjskiego. Wynika z tych zestawień, że np. w r. 1910 wyszło w samem Królestwie Polskiem 1 mil. 189,150 egzemplarzy książek teologicznych; kalendarzy w tym samym roku wydano w Królestwie 938,585; książek dla ludu — 665,808; powieści — 135,213; podręczników — 354.600 egz.; literatury sensacyjnej — 233,000 (!); książek dla młodzieży— 221,500; publicystyki—105,670 i t. d. Razem wydano w Królestwie w r. 1910—4,665,701 egzemplarzy książek. Odpowiednich cyfr, dotyczących innych zaborów nie posiadamy. P. Rulikowski spróbował obliczeń przypuszczalnych, które mogą mieć, naturalnie, znaczenie niewielkie. Wziąwszy pod uwagę, iż każda książka wydana została w Królestwie Polskiem przeciętno w 2,777 egz. i przypuściwszy, że taką samą przeciętną można stosować do innych zaborów, otrzymał autor książki następujące liczby egzemplarzy wydanych we wszystkich trzech zaborach, zagranicą i w Ameryce:

W r. 1909 . . . . .	8,582,022
„ 1910 . . . . .	9,999,956
„ 1911 . . . . .	9,340,530

Wypadłoby z tych cyfr, że dla dwóch polaków przeznaczona się u nas rocznie mniej więcej jedna książka, a wśród tych książek każda piąta będzie albo książką teologiczną albo też... kalendarzem. Taki wniosek nasuwałby zestawienia p. Rulikowskiego, gdybyśmy mogli stwierdzić, że wszystkie wydane książki rozchodzą się wśród czytelników. Niestety, wiemy, że ilość makulatury gnijącej po składach księgarskich jest przerażająca i gdybyśmy mogli mieć z tamtej strony dane, okazałoby się może, że jedna książka czytana wypada zaledwie na dwudziestu polaków, a wśród tych książek piątą część stanowią będą zawsze książki teologiczne i—kalendarze...

Jan Lorentowicz.

▷○○○○○○○○◁

## Cienie.

*Znowu dusza do dawnej zatęskniła chwili  
I znowu żal powraca z obczyzny dalekiej...  
Drżą w placzu złotorzese zimnych gwiazd powieki,  
W wądoły dróg tajemnych toń morza się chyli.*

*Mewy, szalone lękiem, serce niepokoją  
Biciem osłabłych skrzydeł nad mroczną głębiną,  
Strwożone stado ptaków—dumy moje płyną  
W wiecznem szlochaniu fali na pamiątkę twoją...*

*I myśl się tamie ciężko w walce z zapomnieniem,  
Fala płacze najcichszem pośród burzy łkaniem...  
— My, falo, nie dogonim—my już tu zostaniem,  
Stłumieni w nicość żalu za rozwianym cieniem...*

*Mgła pękająca w żarach ostudzi kamienie,  
A, jako mgła, czar rzeczy niebywałych pryska,  
Popioły wichur wywiat z krwawego ogniska  
I pójdą pustką świata—cienie, cienie, cienie...*

*W trupiej bladeści mroku widzę je, przytomnie  
Męce dalekich tulactw od brzegu do brzegu,  
Duchy fal nieujętych, niewstrzymanych w biegu,  
Bezmogilne po zgonie, jak były bezdomne.*

*U stóp mych dzika woda w odsepów stawidła  
Wkłębia się głuchym jękiem, jadem piany chlusta...  
Jeszcze krok—dal przedemną i za mną dal pusta—  
Nic—jeno zgasłe zorze i złamane skrzydła!*

*Jutro zwodnicze szlaki świt w topieli wytka,  
Jak nad otchłanią mogił złotych ziół kobierce,  
Jak wczoraj urodzony ptak, polecie serce  
Śladem zmarłego wczoraj tam ptaka—rozbitka.*

*O ptaku burzy mówią tajemnicze baśnie,  
Co z bieli pian go rodzi rozszalała woda,  
Że kiedy w pierwszym locie piersi wichrom poda,  
To już nie może spocząć, nim—na wieki zaśnie.*

*Jest bezsenny, jak fala—jak wichr, niepochwytny,  
Nikt go śmiertelnym wzrokiem nie oglądał zblizka,*

Niema na żadnym brzegu gniazd ni żerowiska —  
Nic — oprócz białych skrzydeł i dali błękitnej.

Tleje w sobie, jak krwawe meteoru ciało,  
Gasnące z sykiem męki w bezdennej topieli,  
I, wracając, żeglarze: „otośmy widzieli“...  
Szepcą białemi wargi: „a słowo się stało!“

A kiedy fala z szumem pęka na głębinie,  
To jakby Bóg odwalit ciężkie wieko trumny,  
Serce drży... słysząc łoskot jakby skrzydeł—szumny  
I w wiecznej skardze morza krzyk—wołanie płynie!...

Na wolnym kędys stepie tak jęczą kurhany —  
W głuchem nocy milczeniu, poznają je ślepce  
Po głosie, którym ziemia nad grobami szepce,  
O doli przeminionej i dumie przewianej.

Mówią o ptaku baśnie, że, gdziekolwiek padnie,  
Otwarta czeluść wiru nazawsze zostaje,  
Odwieczne szlaki tęsknot, odlotów wyraje,  
Ptakom wędrownym w dale znacząca dokładnie.

Czemu nie moim żalom, gdy je męka żenie  
W gwiazd spadłych, w ptaków zmarłych głuche  
uroczyńska?

Czar niebywałych rzeczy, jak ty, falo, pryska  
I pustką świata idą—cienie, cienie, cienie.

Michał C. Bielecki.

▷○○○○○○○○◁

## Na marginesie.

### Gospodarz i lokator.

„Prosię drze wór i kwiczy“—mówi stare polskie przysłowie. Komu nie przychodzi ono na myśl, gdy rozmawia z kamienicznikiem wileńskim?

Człek ten w przekonaniu własnym jest srodze przez los krzywdzony. Gnębą go podatki, prześladują instytucje publiczne, eksploatują mieszkańcy. Słowem wszystko dokoła spiknęło się na nieszczęśliwego kamienicznika, który jest wprost ofiarą naszych wadliwych stosunków.

Nic też dziwnego, że biedak broni się, jak może.

— Mieszkanko wynajmę — powiada — ale kontraktik będzie pan łaskaw podpisać.

Czytam ów „kontraktik“ i resztki włosów stają mi dęba. Zda się, że nieboszczyk Twardowski mógł z lżejszym sercem podpisywać cyrograf, niż czyniłby to lokator wileński, gdyby miał czas odczytać cały sążnisty formularz, uprzejmie mu podsuwany przez kamienicznika-ofiarę.

Przedewszystkiem uderzają tu terminy opłaty czynszu. Półroczne: 15 września i 15 kwietnia. Gospodarza nie nie obchodzi, że zwykły śmiertelnik, zwykły człowiek pracy, wynagrodzenie otrzymuje miesięcznie; że do tego stosują się już właściciele domów we wszystkich miastach europejskich. Mieszkaniec Wilna, chcąc zapewnić sobie dach nad głową, czyli zaspokoić jedną z najpierwszych potrzeb—musi od razu popaść w długi.

Lecz to nie dosyć; bo jeżeli na termin po-

życzki nie uzyska i na czas haraczu nie wniesie, gospodarz—zgodnie z brzmieniem kontraktu — ma prawo wyrzucić go każdej chwili (bodaj w nocy) i zlikwidować sobie komorne aż do końca roku.

Wszystkie sprzęty lokatora umowa poczytuje za zastaw. Z mieszkania, które za pół roku zgóry opłacił, nie wolno mu nic wynieść, nie sprzedać, nie podarować. Jeśli zdejmę ze ściany obraz i zrobię z niego prezent memu przyjacielowi, gospodarz—w myśl kontraktu—ma prawo zatrzymać onego obdarowanego przyjaciela i kazać mu odnieść upominek z powrotem. Dalej zobowiązuje się lokator, że w danym mieszkaniu przebywać będzie liczba osób, ściśle zgóry określona. Daje to gospodarzowi władzę interwenjować, jeśli np. Pan Bóg komuś błogosławi i rodzinę jego powiększa. Chcąc postępować lojalnie, winien lokator prosić gospodarza o pisemne zezwolenie na przybycie każdej nowej pociechy, a w razie dubeltowego przychówku, jedno z bliźniat oddawać do przytułku.

Gdy się zważy, iż 95% lokali wileńskich są to stare, smrodliwe, zapuszczone rudery, że brak w nich światła, wentylacji i jakichkolwiek urządzeń, służących higienie i estetyce — kapitałnym wydać się musi piąty, najobszerniejszy punkt szablonowego kontraktu. Stawia on lokatorowi cały szereg wymagań w kierunku właśnie higieny i estetyki. Paragraf ten żąda, by mieszkanie—po rocznej używalności—nie nosiło żadnego jej śladu, by—rzec można — odświeżyło się, odnowiło. Staranie o to ma być naczelną troską lokatora. Jeśli opala mieszkanie, to nie po to, by mu było ciepło, jeśli wentyluje, to nie dlatego, iż pragnie oddychać świeżem powietrzem, lecz że zabiegów tych wymaga dobro lokalu... etc.

Wreszcie dodać trzeba, że lokator, podpisując umowę, czyni to nie tylko w imieniu własnym, ale też swoich sukcesorów.

Jednostronność kontraktu tego jest rażąca, karykaturalna. To też pocziwe życie najczęściej z tych papierowych strachów nic sobie nie robi, co wychodzi na złe tak jednej, jak i drugiej stronie. Unormowanie wzajemnego stosunku, wzajemnych zobowiązań lokatora i gospodarza należy do ogólnego prawodawstwa. Atoli ustawy rosyjskie posiadają na tym punkcie luki olbrzymie. Stosunkowo mało w Rosji rozwinięte życie miejskie i rozstrzeniach o rozlicznych stadjach kultury—wielce utrudnia stworzenie zasadniczych norm dla sprawy „mieszkaniowej“. Dużo też zapewne czasu upłynie, zanim lęda mogły wejść w życie jakies jednolite przepisy—bodaj tylko podstawowe.

Z tego względu kwestję mieszkaniową, a w szczególności prawidła najmu, wziąć w ręce swe powinny samorządy miejskie. Jeśli nie okazują one w tym kierunku inicjatywy, to z pewnością dlatego, że — wedle praw istniejących — miastami rządzi wyłącznie kamienicznicy, którym wszelka reforma grozi ograniczeniem dotychczasowej samowoli.

Skoro się jednak zważy, iż samowola ta wnosi tylko anarchję, a doprowadzona do absurdu (jak wskazują kontrakty wileńskie) obustronny interes oddaje na łaskę i niełaskę przypadku — powstaje pytanie, czy zarządy miejskie nawet w swym obecnym składzie nie potrafiłyby wymyślić pewnych norm, o tyle o ile rozumnych i uwzględniających interesy nietylko kamieniczników.

Możeby o tem pomyśleć zechciał i nowy zarząd naszego miasta?

Behra.

## PRASA POLSKA.

— Nowaczyński swem słynnym gwizdaniem na romantyczną trójcę zachęcił rozmaitych neopozytywistów do naśladowania go i szkalowania najpiękniejszych kart przeszłości narodu. Szczególniejszą gorliwość wykazują w tym względzie jak to zwykle neofici—świeżo nawróceni ugodowcy z obozu p. Dmowskiego. P. Marylski w № 219 „Gazety Warszawskiej“ czyni następujące odkrycie historyczne:

„Roku 5814 żydowskiego i masonskiego, a naszego 1810 żydzi przez organizację wolnomularską wkradli się do naszego życia narodowego, roku 5824, a naszego 1830 r. wszechludzkie organizacje pełniły nasz naród do niepolitycznej walki, roku 5844, a naszego 1830 wszechludzkie organizacje pełniły nasz naród do niepolitycznej walki, roku 5864, a naszego 1860 międzynarodówka wywołała nieszczęsne zbratanie się z żydami i rok 186, roku 5909 a naszego 1905 też międzynarodówka wylała morze krwi“...

Przytaczając ustęp powyższy, umiarkowany i bardzo pobłażliwie się zapatrujący na karkołomne harce endecji „Tygodnik Polski“ nie posiada się z oburzenia i zapytuje:

„Po co się to pisze? Do czego to zmierza? Z jakich motywów wynika?”

Nie dla czezej polemiki, nie dla chęci usłyszenia mniej lub bardziej „ciętej“ odpowiedzi — pytanie to zadajemy.

Tu chodzi o znacznie ważniejszą sprawę.

Jeżeli się świadomie (bo o nieświadomości nie może być naturalnie mowy) szerzy informacje rzędu powyższego, to nie można nie mieć w tym celu głębszego, a przedewszystkiem nie można nie wiedzieć, komu się przysługi czyni. Chyba, że się zupełnie utraciło równowagę myśli. I tak jest.

Cel walki z żydami nie może tutaj służyć ani za wytłumaczenie, ani za wyjaśnienie. Bo dosyć jest chyba pół do zwalczania ich wpływów, aby jeszcze wynajdywać urojone tereny ich działania.

Cale sto lat dziejów narodowych podaje się w poniewierkę, uczy się pogardzać faktami historycznymi, do których najkrytyczniejsi badacze odnosili się przynajmniej z szacunkiem, piętnuje się, jako służbą wpływom obcym bohaterskie walki najgorętszych patrijotów i najrozumiejszych obywateli, zrywa się nie rozwoju narodowego dla dogodzenia niepojętej wprost chęci obniżenia każdego wysiłku w kierunku odrębności politycznej.

Obojętność społeczeństwa naszego, odurzanego systematycznie w kierunku tłumienia wszelkich żywych reakcji, przechodzi szybko do porządku dziennego nad rewelacjami, jakich podana wyżej cytata odsłania rąbek.

Czas jednak z tą obojętnością zakończyć. Zamilczanie wystąpień i oświadczeń, świadczących o zupełnym zaniku szacunku względem bohaterstwa własnego narodu i jego przeszłości, usiłujących zohydzić każdą próbę zdobycia lepszego bytu, pragnących wychować młode pokolenie w zupełnym oderwaniu od jakiegokolwiek aspiracji dalej idących, — nareszcie zakończyć się musi. Zdrowym wiedzioną instyktom odsunęła się już dawno, i jaknajdalej, młodzież polska od ognisk, skąd takie ku niej nauki spłynąć miały. I temu zawdzięcza, iż po szeregu lat pełnych szamotania się wewnętrznego, lat odosobnienia i rozterki, zdołała stanąć nanowo na twardym gruncie zdrowo pojętych obowiązków narodowych i że w oczach naszych zespala się i kalkuje około ideałów niezmiennych narodu polskiego. W tymże kierunku idą i pozostałe, najlichniesze grupy społeczeństwa. Lud zorganizowany — oddawna zerwał wszelkie nici z ośrodkami oportunistów i wstecznicstwa, wyparł się jawnie i otwarcie wszelkiego z nimi związku. A choć jednostronna demagogia, na tle sprawy żydowskiej wyrosła, usiłuje go na nowo pozyskać, poczynania te, zaiste, nie na długą zdadzą się metę; już dzisiaj mnożą się oznaki, dowodzące, iż prócz konieczności oparcia się nawale żydowskiej lud jeszcze inne konieczności życia swojego narodowego pojmuje i realizować pragnie. A tych nie wskażą mu ludzle, stający wpoprzek wszelkim idejom i poczynaniom emancypacyjnym.

Trzeba sobie jasno powiedzieć, iż mamy dzisiaj w kraju obóz, którego kierownicy uważają za swój obowiązek tłumienie wszelkich pierwiastków istotnego uświadomienia narodowego, którzy nie gardzą żadnym środkiem zniweczenia wszelkich prób wzmożenia odrębności naszej, którzy za wroga narodu, wysługującego się interesom obcym, uważają każdego, kto o ową odrębność dba i politycznemu unicestwieniu naszemu tamy stawiać pragnie.

W chorej atmosferze ostatnich lat doszedł ten obóz do zupełnej aberacji i robi dzisiaj wrażenie zastępu manjaków, rzucających się na wszystko i na wszystkich, którzy zniemawioną ideję przypominają“.

Słuszne uwagi powyższe wypada o tyle skorygować, że określenie rzeczonyj formy obłędu jako manjactwa nie odpowiada ogólnie przyjętej terminologii psychopatycznej. Daleko właściwszą jest djagnoza, zawarta w tytule artykułu: furioso.

▷○○○○○○○○◁

## Protest litwinów.

Jak było do przewidzenia, memoriał Komisji Tymczasowej z powodu ustępu, poruszającego kwestję Litwy, wywołał protest ze strony nacjonalistów litewskich.

Litewskie biuro informacyjne w Paryżu, którego kierownikiem jest p. J. Gabrys, przesłało na ręce sir Edwarda Greya następującą deklarację.

„Polska Komisja Tymczasowa w memorandum, przedstawionem naradzie ambasadorów w Londynie wyraziła życzenia, aby do Polski, oswojonej przez wielkie mocarstwa, została przyłączona i Litwa.

Wobec tego mamy zaszczyt oświadczyć:

1) iż żadna grupa ani partja polityczna litewska nie upelnomocniła komisji do występowania w jej imieniu przed naradą ambasadorów.

2) w razie, gdyby prośba Polskiej Komisji Tymczasowej była uwzględniona przez naradę londyńską, litwini proszą:

a) wobec różnic etnograficznych pomiędzy nimi a polakami,

b) wobec precedensu unji historycznej Litwy z Polską, w czasie której Polska postępowała, jako nieuczciwa sojuszniczka, zdradzając Litwę i pozbawiając ją paru prowincji,

c) wobec terażniejszych tendencji polskich do spolonizowania Litwy, wszelkimi środkami, nawet przemocą,

d) wobec tego, iż Litwa nie sprzyja Polsce w jej przygotowaniach do buntu przeciw Rosji z zamiarem wywołania komplikacji międzynarodowych i

e) wobec tego, iż Litwa dąży tylko do szerokiej autonomji administracyjnej (szkoły, sądy, uniwersytet w Wilnie, sejm narodowy i t. p.), osiągniętej w drodze legalnej a nie siłą zbrojną

o uznanie prośby Polskiej Komisji Tymczasowej w stosunku do Litwy za nieważną.

Prosimy W. Eksceleńcę o zakomunikowanie tej deklaracji naradzie posłów“.

Właściwie deklaracja powyższa nie zawiera niczego nowego. Intencje i argumentacja nacjonalistów litewskich znane są nam aż nadto dobrze. Po raz pierwszy tylko zostały one sformułowane dobitnie i wyłożone przed forum Europy. Znaczenia realnego deklaracja nie posiada, jak nie posiada go również memoriał Komisji Tymczasowej.

„Kurjer Krajowy“ zapalał jednak oburzeniem i wystosował płomienne wezwanie pod adresem postępowców litewskich, by ci zaznaczyli publicz-

nie, iż się nie solidaryzują z wystąpieniem Biura prasowego. Jakoż na łamach tegoż „Kurjera Krajowego“ niepodpisany litwin złożył oświadczenie w tym duchu, chociaż w formie nie zbyt kategorycznej. Natomiast odezwało się w obszernym artykule „Viltis“ z gorącą aprobatą deklaracji, wyraźnie podkreślając lojalne stanowisko większości społeczeństwa litewskiego wobec państwowości rosyjskiej, co do tego stopnia wzruszyło redakcję „Wilenskiej Wiestnik“, iż złożyła w przystępie rozczulenia charakterystyczne wyznanie:

„Przeżyty okres zamieszek, gdyśmy ujrzeli i poczuli niechęć do nas inoplemieńców, wzburzył i uczynił nas podejrzliwymi. Drżąc o swą własność historyczną, myśmy nawet własny swój rząd zaczęli oskarżać o brak uczuć narodowych. Lecz wszyscy my czujemy, jak ciężko jest żyć na stanowisku warty bez zmiany. Pragniemy pokoju, zgody i pracy kulturalnej. I dlatego z takim uczuciem radości stwierdzamy wszelki objaw ze strony inoplemieńców, dający nam przeblask wiary i nadziei, iż wreszcie jakgdyby znaleziony został ten zasadniczy punkt ugody, wobec uznania którego reszta—to drobiazg“...

Deklaracja więc litewska, przeznaczona dla konferencji ambasadorów w Londynie znalazła odźwięk w redakcji półurzędowca wileńskiego. Zapewne też osiągnięcie tego właśnie skutku miała na celu.

▷○○○○○○○○◁

## KRONIKA.

### — Aleksander Jabłonowski.

W pobliżu Odessy zmarł Aleksander Jabłonowski, znakomity historyk, prezes Warszawskiego Towarzystwa Naukowego, członek krakowskiej Akademii Umiejętności, autor całego szeregu cennych dzieł naukowych.

Aleksander Jabłonowski ur. w 1829 roku we wsi Gozlinie, w dawnej ziemi Czerskiej z ojca Piotra i matki Marjanny z Piotrowskich. W latach 1837—1842 uczęszczał do szkoły powiatowej w Drohiczynie nad Bugiem, a w latach 1843—1847 do gimnazjum w Białymstoku. W 1847 r. wstąpił 18-letni wówczas młodzieniec na wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu w Kijowie. Studjował tam sławistykę oraz dzieje i język Ukrainy. W 1849 r. przeniósł się na uniwersytet w Dorpacie, gdzie przez trzy lata studjował historję powszechną oraz filologję i lingwistykę klasyczną i niemiecką.

Po ukończeniu studjów uniwersyteckich w 1852 roku Jabłonowski przedsięwziął cały szereg podróży. Rozpoczął je od podróży po Słowiańszczyźnie. W tym czasie powstały jego prace: „O prowincjonalizmach (etnograficzno-historycznych) w dawnej Polsce“ i „Rodzina w Polsce i jej rozwój historyczny“.

W 1859 r. udał się do Berlina, gdzie wznowił studja nad historją powszechną oraz począł badać dzieje Bizancjum. Potem studja prowadził w londyńskim British Museum.

W paryskim „Przeglądzie rzeczy polskich“ drukował uwagi krytyczne nad budzącym ongi wielkie zainteresowanie poglądem etniczno-historycznym Franciszka Duchńskiego. Z Londynu udał się do Brukseli, a potem do Paryża, gdzie uczeźszał do Sorbony.

Później bawił w Pradze, uczeźszał w Wiedniu na wykłady słynnego sławisty, Miklosicza, wreszcie przebywał w Zagrzebiu, Rjece i Djakowarze, zapoznając się z działalnością biskupa chorwackiego Strossmajera.

Po zwiedzeniu Słowiańszczyzny południowej, Turcji, Grecji i Włoch, powrócił do kraju. Warszawę opuścił wkrótce z rozkazu władz i zamieszkał na Ukrainie, gdzie zajmował się nauczycielstwem, nie zaniedbując i pracy naukowej. W tym okresie opracował „Koleje dziejowego zrzeczenia się słowian“.

Zesłany w r. 1867 do głębi Rosji, po roku powrócił i zamieszkał w Warszawie już na stałe. Tu rozpoczął systematyczną, wytrwałą pracę naukową, przerywaną tylko dalekimi i ciekawymi podróżami naukowymi. Pisał do wielu

czasopism. Z tego czasu pochodzą różne prace historyczne, etnograficzne i opisy podróży.

W r. 1875 podjął z Adolfem Pawińskim myśl wydawnictwa opracowanych archiwaliów p. t. „Zróżdła dziejowe“. To pomnikowe wydawnictwo przekroczyło liczbę kilkudziesięciu tomów. W wydawnictwie p. t. „Teki Pawińskiego“ brał też Jabłonowski wybitny udział.

Niezależnie od godności prezesa Warsz. Tow. Nauk. i członka krakowskiej Akademii, Jabłonowski spotykał się z uznaniem i wśród obcych.

### — Braki piśmiennictwa polskiego.

Warszawski miesięcznik bibliograficzny „Książka“ wystąpił z projektem ankiety której myśl poddał znany poeta, Antoni Lange, i zwraca się do wszystkich interesujących się losami piśmiennictwa ojczystego, wszystkich specjalistów czy to naukowych, czy praktycznym zajęciom oddanych, wszystkich techników, handlowców, rzemieślników, artystów i t. d. upraszając, aby zechcieli „Książkę“ zawiadomić o brakach dzieł w języku polskim w ich gałęzi pracy. Idzie tu przede wszystkim o stworzenie fundamentalnej literatury podręcznikowej z zakresu robót praktycznych, tak, aby wszystkie możliwe dziedziny wiedzy i zajęć praktycznych były w należyty sposób obsłużone i zaspokojone. Pożądanym materiałem może być rozmaity i da się podzielić na trzy główne kategorie:

1) Humanistyka: filozofja, lingwistyka, literatura, historia, geografia i etnografia, prawo, ekonomja i socjologia, estetyka i t. d.

2) Nauki ścisłe: matematyka, mechanika, astronomja, chemja, fizyka, geologia i mineralogja, biologja, antropologja, higjena i t. d.

3) Zajęcia praktyczne: technologia, budownictwo, rolnictwo i ogrodnictwo, przemysł fabryczny, rzemiosła i rękodzieła, handel, banki i finanse, górnictwo, historja wynalazków i techniki i t. d.

Należy zawsze uwzględnić trzy stopnie każdego wykładu: elementarny, średni, wyższy (uniwersytecki). Przedewszystkiem zaspokojone być muszą wymagania stopnia pierwszego i drugiego; stopień najwyższy tymczasowo obsłużony jest wykładami profesorów we Lwowie i Krakowie. Nadto byłoby do życzenia określić, jakie w danej gałęzi potrzebne są dykejonariusze, atlasy, albumy, zbiory modeli i in. rysunków i t. d.

Formularza szczegółowego ankieta nie podaje. Chodzi o zapełnienie rubryk następujących: imię, nazwisko oraz adres (nieobowiązkowo); zawód-specjalność; desiderata; jaka książka (jakie książki) w danej dziedzinie jest potrzebna? jakiego stopnia prace są pożądane? jakie dzieła pomocnicze (słowniki, atlasy, albumy i t. d.).

„Książka“ rozpisuje tę ankietę na przeciąg 6 miesięcy, t. j. do 15 grudnia b. r. Odpowiedzi należy przysyłać pod adresem: „Redakcja Książki, księgarnia E. Wende, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 9“.

### — Kto tworzy opinię publiczną w Rosji?

Ks. Meszczerzski w „Grażdaninie“ zwraca uwagę, że choć nawet nietykalność poselska jest w Rosji kwestjonowana, jednak istnieje w państwie pewien organ opinii, który jest dla władz policyjnych nietykalnym. Organem tym jest „Nowoje Wremia“. Redaktor „Grażdanina“ miał w tej sprawie, jak pisze, taką rozmowę niedawno z jednym z urzędników:

— „Kiedy „Grażdanin“ ośmielił się zażartować z żandarmów, oddano go pod sąd, kiedy zażartował z p. Bieleckiego — dostał się pod sąd, a „Nowoje Wremia“ ośmielało się obrażać ministra Sazonowa i politykę Monarchy — i wasi Jowisze nie odważyli go się ruszyć“.

— „Nowoje Wremia“, to organ opinii publicznej; nie można go ruszać — odpowiada urzędnik“.

— „Nigdy „Nowoje Wremia“ nie było organem opinii publicznej, to organ nieboszczyków, kokot, kucharek i tępych urzędników — odparł książkę“.

— „To właśnie jest opinia publiczna — odpowiedział urzędnik“.

### — Aresztowanie redaktora.

W Lublinie aresztowano redaktora „Ziemi Lubelskiej“, p. Daniela Sliwickiego. Aresztowanie nastąpiło na skutek rozkazu generał-gubernatora warszawskiego, skazującego redaktora „Ziemi Lubelskiej“ na trzymiesięczne bezwzględne więzienie za szereg artykułów: „O oświatę polską“, zawierającego krytykę szkoły nienarodowej; „Dokąd“ nawołującego maturzystów, aby nie jeździli do uniwersytetów na Zachodzie i w Rosji, lecz do Galicji i „Nie sobie“ podkreślającego wartość wychowawczą szkolnictwa polskiego.

Aresztowanemu dano 10 minut na uregulowanie swoich interesów.

### = Oświadczenie „centrum obywatelskiego“.

W „Dzienniku Kujawskim“ zamieszczone zostało poniższe oświadczenie t. zw. „centrum obywatelskiego“:

„Za stanowisko Bazaru, za dobrowolny udział panów i pań w uroczystościach zamkowych czyni się odpowiedzialnym całe ziemiaństwo.

„Zarżuty te krzywdzą w wysokim stopniu szerokie koła ziemian, przeciwstawiających się polityce i taktyce ziemian, przeciwstawiających się polityce i taktyce ziemian, złączonych w tak zwanem kasynie.

„Uchwałą swą i działaniem kasyno wprowadziło społeczeństwo w błąd, odbijający się na reszcie ziemiaństwa.

„Wobec tego oświadcza centrum obywatelskie, w którego skład wchodzi znaczny odłam ziemiaństwa, w związku z odezwą z zeszłego roku w sprawie wyłączenia i z rezolucją wiecu generalnego w Inowrocławiu co następuje:

„Solidaryzując się z całym patriotycznie czującym społeczeństwem naszym potępiamy ubliżające godności narodowej manifestacje niczem nieuzasadnionej lojalności, złączone z przyozdobieniem Bazaru i dobrowolnym udziałem w uroczystościach dworskich.

„Stwierdzamy, że w umiłowaniu idealów ojczystych i w sposobach ich obrony niema rozłamu pomiędzy olbrzymią częścią ziemiaństwa naszego a społeczeństwem polskim“.

Za zarząd i wydział ściślejszy centrum obywatelskiego: *Władysław Grabski, Bolesław Brodnicki, Leon Pluciński*“.

### = Powody zamknięcia.

Z powodu zamknięcia niedawno „Klubu ukraińskiego“ w Kijowie, złożona została skarga do senatu z równoczesnym podaniem senatowi przez administrację przyczyn zamknięcia klubu. Dowiadujemy się z aktu urzędowego, że powodem zamknięcia było: 1) wśród członków zebrano 12 rub. 69 kop. na pomoc stowarzyszeniu studentów wyższych zakładów naukowych, 2) w lokalu wywieszono było ogłoszenie, wzywające członków do mówienia po maorusku, 3) w protokołach są wzmianki o konieczności idejowego wychowywania dzieci, 4) klub wysłał telegram do tow. „Proświta“ we Lwowie z powodu 40-letniego jubileuszu, 5) klub przesłał akad. Szachmatowowi w Petersburgu i Korszowi w Moskwie telegramy za poświęcenie uwagi pamięci Szewczenki.

### = Nowy środek przeciwno prasie.

Przed paru tygodniami w Narwi sąd śledczy aresztował redaktora gazety „Kiżr“, p. Arma, pociągniętego do odpowiedzialności z art. 1039 i 1040 kod. karn. (Zniesławienie i obelgi).

P. Arm odzyskał wolność po złożeniu 1,000 rub. kaucji. Archaiczny art. 1039, nadzwyczaj dogodny dla wytaczania procesu redaktorom przez osoby, obawiające się ujawnienia publicznego swych czynów (artykuł powyższy niedopuszcza dowodu prawdy, o ile idzie o honor osoby prywatnej)—jak się okazuje obecnie—może być z powodzeniem stosowany dla wywierania nacisku na redaktorów pism opozycyjnych.

Ponieważ nigdy, żaden sędzia śledczy nie wymagał w takich sprawach złożenia kaucji przez oskarżonego, „Riecz“, otrzymawszy o tem wiadomość, zwątpiła o jej prawdziwości. Jednakże wiadomość niebawem została potwierdzona.

### = Zmiana ambasadorów.

W Wiedniu dokonywa się obecnie ważna zmiana w składzie tamtejszego ciała dyplomatycznego. Ustępuje p. Giers, ambasador rosyjski, a jego miejsce zająć ma p. Szebko z Bukaresztu. Opinia wiedeńska—nie wiadomo czy trafnie—łączy z tą nominacją oraz zamierzonym wysłaniem do Petersburga hr. Szaparego nadzieję gładszego ukształtowania wzajemnych stosunków.

Większe zainteresowanie w prasie europejskiej wzbudza druga zmiana. Mianowicie ustępuje ambasador angielski w Wiedniu, sir Fairfax Cartwright. Następcą jego mianowano sira Mauryca Bunsena, który dotąd reprezentował imperjum brytyjskie jako ambasador w Madrycie.

Z urzędowej strony angielskiej donoszą, że sir Cartwright opuszcza Wiedeń ze względów czysto prywatnej natury. Niema powodu niewierzyć tym zapewnieniom. Dotychczasowy ambasador angielski w stolicy monarchji habsburskiej cieszył się bowiem aż do ostatniej chwili wielkim zaufaniem swego rządu. Mimo to przecież ogólne zaciekawienie budzi ta zmiana.

P. Cartwright do Wiednia przybył w czasach aneksyjnych gdy długoletnia śpiączka dyplomatyczna Europy znikła od jednego razu i ustąpiła miejsca po dziś dzień trwającemu

rozdrażnieniu, które nierychło się uśmierzy. Sytuację miał więc nowy dyplomata na terenie wiedeńskim niełatwą, tem bardziej, że reprezentował państwo, którego opinja publiczna zwracała się gwałtownie przeciw Austro-Węgrom — państwo należące do trójporozumienia, będące jego ostoją i osią, a reprezentował je w chwili, gdy kontrast między trójporozumieniem a trójprzymierzem doczekał się pierwszego wyrazu w polityce czynnej. Kampanja bałkańska razem z następczą konferencją ambasadorów w Londynie przyniosły ambasadorowi angielskiemu również nie łatwe zadanie. Sir Cartwright wywiązał się z niego w sposób taktowny i zręczny i teraz, ustępując, zostawia swemu następcy pole o wiele swobodniejsze, niż z początkiem swej pracy wiedeńskiej.

Być może, iż ta okoliczność tłumaczy zwolnienie Cartwrighta. Utrzymują jednak niektórzy, iż jest to objaw polepszenia stosunków między Anglią a Niemcami.

Cartwright był swego czasu wysłany do Wiednia przedewszystkiem w tym celu, aby pracować dla polityki odosobnienia Niemiec, zainiejowanej i systematycznie przeprowadzanej przez króla Edwarda. Cartwright był też w samej rzeczy wroga dla Rzeszy niemieckiej usposobiony. Nigdy z tem się nie tał i podobno głównie jego jest zasługą, że Wiedeń zachował się obojętnie podczas ciężkiego i groźnego konfliktu marokańskiego, który przed dwoma laty wybuchł pomiędzy Francją a Niemcami i który przybrał takie rozmiary, że wojna europejska zawiła faktycznie tylko na włosku. Rządowi swemu, niemniej republice francuskiej oddał naówczas Cartwright ogromne usługi, a prasa niemiecka gwałtownie domagała się jego odwołania z Wiednia, zarzucając mu, że jest jednym z najzacieklejszych wrogów Niemiec.

Dziś stosunki między Niemcami a Anglią znacznie się poprawiły, ale mimo to „Berl. Tageblatt“ zauważa, że Niemcy rade widzieć ustąpienie takiego nieprzejednanego przeciwnika, jakim zawsze i na każdym kroku był sir Fairfax Cartwright.

Nowy ambasador angielski w Wiedniu, sir Maurycy Bunsen, ma opinję wytrawnego, rutynowanego dyplomaty. W Madrycie wszystkich sił dokładał, aby doprowadzić do porozumienia pomiędzy Francją a Hiszpanją w sprawie marokańskiej i jeżeli ugoda przysła ostatecznie do skutku, podobno jego głównie jest zasługą.

▷○○○○○○○○◁

## Sprostowanie.

Do artykułu „Sto lat temu a dzisiaj“ (№ 30—31) wkrađło się parę błędów drukarskich, które na tem miejscu prostujemy.

Na str. 7, szpalta II, wiersz 17 od góry czytać należy „Tomasz Padurra“.

W wierszu 16-ym od dołu czytać należy „Aleksander Napoleon Dybowski“. Broszurę swą wydał w r. 1846.

## Treść numeru.

Tragifarsa poznańska — L. A.

Czarna lista.

Gospodarka szkolna w Galicji — J. Krz.

Stulecie pracy kobiet holenderskich — M. Dąbrowski.

August Bebel — St. Posner.

Nasza produkcja wydawnicza — J. Lorentowicz.

Cienie — M. C. Bielecki.

Na marginesie — Behra.

Prasa polska.

Protest litwinów.

Kronika.

Odcinek: „Bajki jesienne“. -- Wł. L. Ewert.

▷○○○○○○○○◁

## KAŻDY MOŻE NABYĆ DZIAŁKI Z I E M I

w najlepszej miejsc. m. Wilna „Zwierzyniec“. Miejscowość ładna i zdrowa, las sosenowy, Wilja.

==== Ceny niskie. :—: Warunki dogodne. :—: Prolongata wypłaty.====

Wyjątkowo wygodne i tanie działki nad rzeką. Rozmiary działek według życzenia nabywców.

Zwracać się do Biura pośredniczącego w sprzedaży działków:—WILNO, Zwierzyniec,

ul. Giedyminowska 32 (róg Sosnowej) telefon № 46.

## PODREĆCZNIKI SZKOLNE

do wszelkich miejscowych zakładów naukowych poleca

# KSIEGARNIA "KULTURA"

Ś-to Jerski prosp. № 7 (naprzeciw Banku Ziemskiego.)

## Księgarnia E. WENDE i Sp.

w WARSZAWIE

poleca następujące prace

### Stanisława Posnera:

Ludwik Gumplowicz. Zarys żywota i pracy. Cena rb. 1.20.

Dola i niedola J. Olrycha Szanieckiego (Korespondencja z Joach. Lelewelem). Cena kop. 50.

P. Orsi. Włochy nowoczesne. Dzieje odbudowania Włoch. Przekład St. Posnera. Cena 3. rb.

Drogi samopomocy społecznej. Cena 50 kop.